

WSPÓLNA PRACA

PISMO POSWIĘCONE
SPRAWOM ZIEMI ŁOM-
ŻYŃSKIEJ

— ZESZYT 6. ROK IV.
CZERWIEC 1913 R.



Prenumerata z dodatkiem dla dzieci wynosi w Kraju i za granicą: rb. 3 rocznie, rb. 1 kop. 50 półrocznie, kop. 75 kwartalnie. Pismo nadal wychodzić będzie dwa razy na miesiąc.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA OTWARTE CODZIENNIE OD G. 3 DO 5 PO POŁ.

ADRES: ŁOMŻA, PLAC CERKIEWNY, DOM W-go JOFFE, TELEFON № 43.

D-r Z. Dobrowolski

Ordynat. Warsz. Szpit. Dziec.

WARSZAWA, ul. ŚWIĘTO-KRZYSKA № 6.

Godziny przyjęć 9—10 rano i 5—7 wieczór
prócz świąt.

SPECJALNIE operacje w GARDLE, NOSIE i
USZACH.

BÓL GŁOWY i MIGRENĘ
NATYCHMIAST USUWA
„MIGRENO-NERVOSIN”
BEZWARUNKOWO PEWNY i NIE-
KODLIWY ROŚLINNY ŚRODEK.
SA JUŻ FALSYFIKATY!
WIEC ZADĄC w APTEKACH i SKŁ. APT.
PROSZKÓW WYRABIANYCH TYLKO
w PŁOCKU z PODPISEM WYNAŁAZCY
A. GĄSECKIEGO NA KAŻDYM PROSZEKU.
ZAPAC PROSTU. KOSUTEM
ZAPAC PROSTU. KOSUTEM

!! NOWOŚĆ !!
POKOJOWY
MAGIEL-STÓŁ
„SANITAS”
NIEZBEDNY w KAŻDEJ RODZINIE
BARDZO PRAKTYCZNY!
WARSZAWA
M. KIELIŃSKI
BURAKOWSKA
№ 15
CENNIKI WYSY-
ŁAMY BEZPŁATNIE
NA KAŻDE ŻĄDANIE
!! PROSZĘ PRZECZYTAĆ !!



Popierajmy swoją doskonałą pastę do obawia

BON-TON,

która dobrocią przewyższa
wszystkie zagraniczne.

Wyrób fabryki chem.

S. GLIŃSKIEGO.

Warszawa, Nowy-Swiat 29.

Żądać wszędzie.

Żądać wszędzie.

POWAŻNA KOMISYA.

Stare obrazy, które znajdują się na zam-
kach i posiadłościach arystokracji po-
szukuje się dla kupna. Kto wskaże
gdzie jest okazja?

Oferty adres: Sub C. O. 902 do
Międzynarodowego Biura Ogłoszeń, War-
szawa, Wierzbowa № 8.

Umysłowo chory (melancholik) HER-
MAN HIRSCHFELD 44 lata, średnie-
go wzrostu, blond broda, znikł z miej-
sca stałego zamieszkania. Dobrzy lu-
dzie, którzy go widzieli, lub spotkają
proszeni są o listowne zawiadomienie
pod adresem Szyja Jakubowicz, Łódź
Zawadzka 23.

Zdarza nam się często niestety czytywać w rubryce wypadków o niebezpiecznych po-
parzeniach, spowodowanych domowem przyrządzaniem zaprawy do podłóg. Dla zapobieżenia
podobnym wypadkom, przypominamy Szanownym Gospodyniom, że w składach aptecznych farb
i mydlarniach znajduje się gotowa już zaprawa, powszechnie znana p. n. „Jaśniejsze Słońce”, która
dobrocią wyrobu zyskała ogólne uznanie.

H u g o K o ł ł a t a j,

apostoł demokratyzmu w Polsce.

(Praca nagrodzona na konkursie „Wspólnej Pracy”).

(Dokończenie).

Pragnąc rzeczpospolitą arystokratyczną, jaką w rzeczywistości była Polska, przekształcić na bardziej demokratyczną, obmyślił Kołłataj znakomity wprost projekt, zmierzający do zmniejszenia wpływów możnowładców, którzy utrzymywali na swym żołądź zubożałą szlachtę i używali jej za narzędzie do urzeczywistnienia swoich planów, najczęściej ze szkodą dla dobra powszechnego. Aby usunąć od udziału w prawodawstwie ów motłoch szlachecki, a dopuścić tylko tych, którzy, mając dostateczne środki utrzymania, mogą nabywać wyższe wykształcenie i przedajnością się nie splamić, proponuje Kołłataj upoważnić do obierania posłów i urzędników, oraz piastowania tych godności takich tylko ziemian, którzy mają najmniej $7\frac{1}{2}$ włók ziemi.

Cheąc uzasadnić swój projekt, dowodzi bardzo obszernie, że najściślej związani są z ojczyzną ci, którzy posiadają w niej większą własność ziemską, że właścicielom ziemskim najbardziej na tym zależy, aby urządzenia i ustawy tej ojczyzny były dobre, bo od tego zależy ich własne dobro; że ta ustawa nie ubliża równości obywatelskiej wszystkim szlachty, jak nie ubliża jej prawo o niedopuszczaniu do głosowania małoletnich.

Powyższy projekt, pozornie mniej demokratyczny, niż dawniejsza ustawa, dająca prawo głosu każdemu szlachcicowi, odbierał w rzeczywistości rządy z rąk możnowładców i oddawał je średniemu stanowi ziemiańskiemu, był więc znacznym krokiem do demokratyzacji rządu. Szlachta «chodackowa» nie właściwie na tej zmianie nie traciła, pozbywała się tylko śmie-

sznego złudzenia, że jest w swych prawach równa magnatom, gdy życie dowodziło, że równa jest raczej chłopom.

«Listy anonima», choć pisane na przędcę, dają tyle dowodów głębokiego rozumu i szlachetnego serca autora, że gdyby Kołłataj nie więcej nie napisał, zasłużyłby na wysoką cześć i na wdzięczność narodu. Jaka bo też bystrość umysłu objawia się w tych listach, jak grantowne wykształcenie! Każdą dziedzinę życia ten człowiek zna tak dokładnie, jakby ją całe strawił nad pracą prawodawczą.

Z konieczności omówiłem tylko te ustępy, w których autor stara się wpisać w spólbywateli zasady demokratyczne, ale wielu innych jeszcze rzeczy nauczyć się można z tych listów. Radbym, na przykład, przypomnieć dzisiejszym politykom zdanie, wypowiedziane przez Kołłataja, gdy zarzucał sejmowi pewną niedufność względem komisji wojskowej: «Nie dowierzać obywatelowi, a potrzebować od niego usługi jest to nieszczęście narodu najgorsze i zepsucie w ostatnim stopniu».

Pierwsza część «Listów anonima» została napisana wtedy, gdy Małachowskiego z góry mianowano marszałkiem przyszłego sejmu, a uniwersały królewskie powoływały obywateli na sejmiki przedsejmowe. Następne dwie części napisał Kołłataj już po otwarciu sejmu. Gdy zaś sejm, po załatwieniu najpilniejszych spraw, jak powiększenie wojska i podatków, uchwalił utworzenie „Deputacji do poprawy formy rządu“, wydał Kołłataj zapowiedziany w ostatnim liście projekt prawa pod tytułem: «Prawo po-

lityczne narodu polskiego, czyli układ rządu Rzeczypospolitej.» Dzieło to miało się składać z trzech ksiąg, ale Kołłątaj wydał tylko pierwszą, w której rozwinął prawa zasadnicze, wyjaśniające stosunek mieszkańców do rządu i wzajem do siebie.

We wstępie wymienia Kołłątaj pobudki, które go skłoniły do napisania tego dzieła. Pobudkami temi były: miłość ludzkości oraz całość i szczęście ojczyzny. Podając rady, które zdołał znaleźć, i ostrzegając o niebezpieczeństwie, które grozi ojczyźnie, wypłaca się projektodawca jedynie z długa, winnego społeczeństwa, w którym się znajduje.

Następnie zwraca się do posłów, przypominając im, że mają do załatwienia sprawę niezwyklej wagi, bo sprawę całości ojczyzny i szczęścia lub nieszczęścia milionów ludzi. Od sposobu rozstrzygnięcia tej sprawy zależy, czy odległe pokolenia będą przeklinać czy błogosławić pamięć prawodawców. A jest jeden tylko sposób, mogący zapewnić potomstwu chwałę i wdzięczność przyszłych pokoleń: sposobem tym jest uchwalanie praw zgodnie z głosem prawdy, głosem sprawiedliwości, bo „prawda wszystko zwycięża, a ustrojony nią człowiek mocniejszy jest nad ogromne wojsk zastępy. Można wyroki prawdy na ogień skazać, można jej zwolenników prześladować i niszczyć, ale gdy się raz w sereach ludzkich zajmie, żadna moc, żadna potęga wytępić jej nie zdoła”... A nadeszła właśnie chwila, że i w Polsce głos prawdy może się odzywać, a chwila ta jest epoką, od której nie wolno już myśleć o szczęśliwości kilkaset tysięcy ludzi, lecz myśleć trzeba o swobodzie i sprawiedliwości dla wszystkich. „Narodzie polski — mówi dalej w natchnieniu — i wy, prawodawcy nieszczęśliwego oddawna ludu, czyńcie, co chcecie, dążcie, dokąd was uleganie zastarzałej opinii prowadzić może: ja śmiało przepowiem, że ani naród cały ani mieszkańcy jego swobodni nie będą, jeżeli prawodawstwo wasze, względne na małą część ludzi, zostawi

resztę pod przemocą i uzurpacją, jeżeli konstytucja rządu nie będzie ułożona porządnie i ciągle, jeżeli obok wolności niewola, obok sprawiedliwości bezprawie, obok prawdy uprzedzenia umieszczonemi zostaną”...

Po tej przemowie tłumaczy, na jakich prawach zasadniczych oprzeć się powinna budowa nowego rządu. Podstawą ustroju Rzeczypospolitej powinno być bezpieczeństwo osoby i majątku, co Kołłątaj tak formułuje:

„Wszelki człowiek, w państwach Rzeczypospolitej zrodzony, zamieszkały, albo przychodzień, wolny jest. Wolno mu podług praw Boskich i praw tego kraju używać sił własnych i majątku swego, jak tylko najlepiej dla siebie sądzi. Żaden człowiek drugiego człowieka mocą własną lub zmną mieć nie może ani komu innemu do tego pomagać, tymbardziej szkodzić bliźniemu swemu na majątku, osobie lub życiu. Kto na tej podstawie zechce układać prawa, ten nie zbłądzi w prawodawstwie, bo wszystkie prawa ludzkie wypływają z tego jednego. Kto zaś kierować się będzie nie tym przyrodzonym prawem każdego człowieka, lecz przywilejami pewnej części ludzi, ten „zawsze do dwóch ostateczności w dziele swoim przyjdzie: jednego człowieka lub małą część innych odarzy i wpoi mu w głowę, że są więcej, niż ludzie, że w żyłach ich krew inszym balsamem zaprawiona płynie, a resztę milionów zdegraduje na los bydła. Do tego właśnie doprowadza prawodawstwo barbarzyńskich wieków, kiedy wszyscy nad swojemi przywilejami rozmyślać lubią, a nikt nie jest śmiały zastanowić się nad tym prawem, które Stwórca dobroczynny, wszystkich ludzi ojciec, każdemu nadał.»

Zdarzało się Kołłątajowi słyszeć argumenty przeciwników równości obywatelskiej, że nieoświeconemu ludowi praw przyznawać nie można, że należy czekać, aż się oświeci i z otrzymanych praw będzie umiał korzystać. Rozumowanie takie

nazywa Kołłątaj niedorzecznym, gdyż w niewoli zostający człowiek nie może nabyć prawdziwego ukształcenia, a choćby i nabył je, nie poprawi to jego doli, przeciwnie, będzie on tym żywiej czuł swoją krzywdę. «Nie masz nic strasniejszego — pisze Kołłątaj — w naturze ludzkiej, jak oświecony niewolnik. Czuje on wtenczas cały ciężar niesprawiedliwości, który go uciska, a nie myśląc o niczym więcej, jako o przywróceniu sobie praw przyrodzonych, obraca do tego cały rozum, aby się mógł zemścić na tym, który dziedzictwo jego dotąd niesprawiedliwie posiadał; zapala swe serce, aby się zdołać mogło na najsroższe sposoby zemsty. Niechaj nikogo nie zadziwia okrucieństwo ludu, o którym albo się nam czytać albo słyszeć zdarzyło: bo płód, którego ojcem jest ucisk, a matką niewola, musi przechodzić jadem i srogością wszytko to, cokolwiek w umyśle wystawić sobie możemy drapieżnego i zabijającego»... Jeżeli więc obecni prawodawcy nie odczuwają wielkiej krzywdy, ludowi wyrządzanej, jeżeli nie rozumieją tej prawdy, że «biały czy czarny niewolnik, czy pod przemocą niesprawiedliwego prawa, czy pod łańcuchami jęczy, człowiek jest i w niczym się od nas nie różni» — jeżeli się nad tym nie zastanawiają, mogą być pewni, że albo oni, albo ich potomstwo stanie się ofiarą rozpacz i zemsty ludu, a im dłużej lud cierpieć będzie, tym strasniejszą będzie jego zemsta. Takie ostrzeżenie daje Kołłątaj, pragnąc uchronić ojczyznę od krwawych porachunków, jakich widownią była wówczas Francja.

Wielki mąż stanu, jakim był Kołłątaj, zdawał sobie dokładnie sprawę z tego, jakie stanowisko zajmie szlachta wobec jego projektu; wiedział że pomimo zapala, który ją ogarnął, nie zrobi ona wielkich ustępstw na korzyść chłopów; więc chociaż gorąco pragnął zmienić grantownie ich położenie, żąda dla nich jedynie tych zasadniczych praw, przeczuwając, że i to trudno będzie uzyskać. Że zaś czuł

niedoskonałość swego projektu, dowodzą następujące jego słowa: «Wielu projekt mój za zbyt śmiały osądzą, gdy ja sam, zagłębiając się w przyszłości, która łatwiejszy przystęp prawdziwie do serc ludzkich zgotuje, patrzę nań, jako na nieodpowiadający zupełnie chęci, dobrem ludzkości zajętej. Przyjdą następne po nas pokolenia i jeżeli to małe pismo czytać będą, rzekną: Przecież w roku 1789 odważono się mówić za prawdą, lecz jak wówczas przesądom ulegać trzeba było, kiedy w nim niedosć jeszcze śmiało przyprawdzie obstawano.

Co za przenikliwy umysł! Jak pewnym był Kołłątaj, że sprawa zrównania stanów jest już tylko kwestją czasu! O ilez wyprzedził on swój wiek!

Działalność Kołłątaja wywarła ogromny wpływ na umysły współczesnych, szczególnie na stronnictwo patryjotyczne i wogóle na zwolenników reform. Projekty jego, choć nie zawsze w całości przyjęte, odbiły się tak wyraźnie na uchwałach sejmu, że śmiało nazwać go można jednym z główniejszych twórców konstytucji 3 maja, a to tymbardziej, że w roku 1790 został on członkiem deputacji do ułożenia ustawy rządowej. Większość sejmowa nie podzielała tylko zdania Kołłątaja, że sprawa włościańska jest tak paląca, wskutek czego sprawy tej na posiedzeniach sejmu nie roztrząsano, załatwiając pośpiesznie inne, jak sprawę dziedziczności tronu, «liberum veto» (prawa każdego posła do zrywania sejmu w razie niezgadzenia się z uchwalanym wnioskiem), sprawy finansowe i t. p. Jednakże w przyjętej przez sejm ustawie rządowej poświęcono jeden rozdział sprawie włościańskiej. Stanowił on, że wszelkie swobody, nadania i umowy, ułożone przez dziedziców z włościanami ich dóbr, będą wzięte pod opiekę rządu i będą obowiązywały nie tylko dziedziców, ale i ich następców. Chociaż paragraf ten nie nadawał całemu stanowi włościańskiemu wolności osobistej, był jednak w ówczesnych stosunkach

bardzo ważnym, bo nadawał moc prawną wszelkim ulgom, poczynionym na rzecz poddanych przez ich dziedziców, i nie pozwalał na powrót do dawnego stanu rzeczy, chociażby majątek przeszedł w ręce innego właściciela, nieprzychylnego chłopom. A wypadki wyzwalań włościan zdarzały się coraz częściej (między innymi i Kołłątaj w majątku swoim obdarzył chłopów wolnością i nadał im własność gruntową), i śmiało powiedzieć możemy, że wyzwolenie włościan nastąpiłoby u nas znacznie wcześniej, niż w wielu innych państwach, gdyby nam nie odebrano prawa stanowienia o sobie.

Mówiąc w «Prawie politycznym» o mieszczanach, Kołłątaj stara się wywołać w sercach posłów szlachetną ambicję i rozwija piękne widoki, jakby to szlachcie polski wsławił się między wszystkimi narodami swoją sprawiedliwością, gdyby dobrowolnie, bez gwałtownych wstrząśnień i rewolucji, oddał wolność stanowi miejskiemu i podzielił się z nim władzą prawodawczą, jak sam bez morderstw i przelewania krwi otrzymał z rąk królów wolność i moc do stanowienia praw. I tu Kołłątaj dał dowód niezwyklej przenikliwości i znajomości nastroju, panującego wówczas wśród szlachty, która gotowa była przychylić się do żądań mieszczaństwa. A żądania swoje mieszczenie stawiali coraz wyraźniej. Ówczesny prezydent Warszawy Jan Dekert zamierzył w porozumieniu z Kołłątajem utworzyć ze wszystkich miast królewskich związek w celu zapewnienia sponiewieranej klasie zgodnych z prawami człowieka stanowisk. W listopadzie 1789 roku zjechało do stolicy 269 delegatów od 141 miast z Korony i Litwy dla poparcia swej sprawy. Kołłątaj ułożył dla nich do króla i posłów memoriał, w którym mieszczenie żąda dla siebie bezpieczeństwa osobistego (aby bez uprzedniego wyroku sądowego nie wolno było pozbawiać mieszczanina wolności), prawa nabywania dóbr

ziemskich, możliwości dostępowania się zaszczytów w stanie duchownym i w wojsku, wysyłania na sejm swoich przedstawicieli dla wyjaśnienia swych potrzeb i t. p. Delegaci w uroczystej procesji udali się najpierw do króla, później do marszałka sejmowego i dygnitarzy, prosząc o życzliwość i poparcie na sejmie. Sejm po gorących trzydniowych rozprawach zgodził się (w końcu 1789 r.) na wyznaczenie deputacji dla rozstrząśnienia spraw mieszczan. Prace deputacji trwały bardzo długo, a tymczasem w przeciwnych sobie obozach toczyła się zawzięta walka na piśmie. Czynny udział w tej walce brała też «Każnica», której przedstawiciel, ks. Jezierski, z nieporównanym dowcipem obalał dowody swoich przeciwników i dowodził, że zupełnego równouprawnienia mieszczen wymaga nie tylko prawo natury, ale i korzyść państwowa. Gdy zaś sejm, obawiając się może rewolucji, stał się bardzo uprzejmym dla mieszczen i w ciągu dwóch miesięcy (w listopadzie i grudniu 1790 r.) nadał szlachectwo kilkaset najbardziej wpływowym mieszczenom, Jezierski wydał piorunujący «Głos naprędec do stanu miejskiego.» W broszurze tej ostrzega mieszczen przed groźącym im niebezpieczeństwem; przekonywa, że szlachta użyła podstępów i chce byle czym zbyć mieszczaństwo, pozbawiwszy je przywódców. Nowouszlacheconym przypomina ich obowiązki względem współbraci, upomina ich, by nie astawali w pracy nad blizkim już uszczęśliwieniem wszystkich mieszkańców miast, bo w przeciwnym razie oni, a nie kto inny, winni będą nędzy i uciemiężenia, ich imiona, choć upstrzone szlachectwem, okryje wieczna hańba. Że obawy Jezierskiego były w znacznej mierze usprawiedliwione, dowiodły tego barzliwe rozprawy przy rozpoznawaniu sprawy mieszczańskiej, a poniekąd i prawo zapadłe w tej sprawie 18 kwietnia 1791 r. i włączone do konstytucji 3 maja. Odma-
wiało ono mieszczenom czynnego udziału w prawodawstwie, pozatym jednak speł-

niło wszystkie ich żądania *). Zajęcia miejskie zostały uznane za równe w za-
ności swojej z ziemiańskimi, i szlachcie,
przyjmający obywatelstwo miejskie i od-
dający się handlowi lub rzemiosłom, przy-
wilejów swego stanu odtąd już nie tracił.
Aby zaś stwierdzić szczerotę tego posta-
nowienia, marszałek sejmu wpisał się do
księgi mieszczan warszawskich, a za jego
przykładem poszło zaraz 40 osób, między
którymi był i Kołłątaj. Naśladowała War-
szawę i prowincja, gdzie również szlachta
zapisywała się do ksiąg miejskich i na
wzór Warszawy urządzała wspólne z mie-
szczanami uczty. Wszystko to świadczyło
o znacznym już zdemokratyzowaniu się
szlachty.

W uznaniu zasług Kołłątaja około
prac w reformie rządu wyrobiono mu za-
szczytny urząd podkancelerzego koronne-
go. Wprowadzony do rządu, mógł teraz Koł-
łątaj tym czynniejszą i skuteczniejszą ro-
zwinąć działalność, gdy związek garski
magnatów (konfederacja targowicka), prze-
ciwnych Konstytucji, spowodował wdanie
się obcych mocarstw i przyspieszył drugi
rozbiór Polski. Konstytucję 3 maja odwoła-
no, i mieszczanie oraz chłopci wrócili do
dawnego stanu. Po przyłączeniu się kró-
la do Targowicy Kołłątaj wyjechał za gra-
nicę. Tam wspólnie z kilku innymi emi-
grantami wydał książkę, p. t. „O ustano-
wieniu i upadku Konstytucji 3 maja”, w
której piętnuje zbrodnie magnatów tar-
gowickich i przygotowuje umysły do zbroj-
nego wystąpienia w obronie całości oj-
czyzny i zdeptanej Konstytucji. *) Gdy wy-
buchło powstanie pod wodzą Kościuszki,
Kołłątaj wraz z Ignacym Potockim ot-

trzymał polecenie zorganizowania Najwyż-
szej Rady Narodowej. Do Rady wszedł
też sam Kołłątaj, jako rada skarbu.
Mieszczanie warszawscy, jakby na potwier-
dzenie słów Kołłątaja, który zapewniał,
że ojczyzna pozyska w nowych obywatel-
ach gorliwych obrońców, wzięli nadzw-
yczaj czynny udział w powstaniu, a na
przeciwnikach Konstytucji dokonali krwa-
wej zemsty. Organizatorem powstania
warszawskiego był szewc Jan Kiliński,
którym kierował członek „kuźnicy” ksiądz
Józef Meier. Inni członkowie „Kuźnicy”,
jak na przykład, Dembowski i Konopka,
brali udział w zaburzeniach ulicznych,
wskutek czego teroryści warszawscy zo-
stali przezwani od imienia Kołłątaja ha-
gonistami, chociaż sam Kołłątaj był prze-
ciwny doraźnemu wymierzaniu kary przez
tłum uliczny.

Gdy wojska rosyjskie wkroczyły do
Warszawy, Kołłątaj udał się za granicę,
lecz był zatrzymany przez władze austro-
jackie i osadzony w więzieniu (najpierw
w Jozefstadzie, później w Olomuńcu),
gdzie przesiedział 8 lat. I tu jednak, po-
mimo tak nagłego upadku w chwili, kie-
dy doszedł do największego znaczenia,
nie wpadł w bezczynność: pracował nad
„Rozbiorem krytycznym zasad historii o
początkach rodu ludzkiego”. Wydana po
śmierci autora część tego dzieła dowodzi
głębokości umysłu, wielkiej miłości praw-
dy i umiłowania ludzkości, czego nie wy-
zbył się Kołłątaj nawet w tak ciężkich
chwilach swego życia. Pracował on w wię-
zieniu nad innym jeszcze dziełem, które-
go 1-szy tom (miały być trzy) wydał w
Krakowie w 1810 r. p. t. „Porządek fizycz-

*) Spełniono właściwie wszystkie bez wyjątku
żądania mieszczan, bo nie żądali oni równouprawnienia
w pracy prawodawczej, żądali tylko prawa wysyłania
na sejm swoich pełnomocników, co też im ustawa 3
maja zapewniła, a nawet udzieliła tym pełnomocnikom
głosu czynnego w niektórych sprawach.

*) Magnatów Kołłątaj zawsze uważał za głów-
nych sprawców nieszczęść ojczyzny i przeczuwał, że
staną się oni również grabarzami Konstytucji 3 maja.
To też zawczasu, bo już w broszurze, wydanej r. 1790,

p. t. „Ostatnia przestroga dla Polski,” ostrzegał
szlachtę, by nie dawała posłuchu tym burzycielom,
którzy pod pozorem obrony praw szlacheckich wystę-
pują przeciwko reformom i starają się jeszcze prze-
ciągnąć innych na swoją stronę. Dodać należy, że i
w tej broszurze Kołłątaj nie zapomniał wezwać sejmu,
by zrobił między stanami wieczysty związek i trwałe
przymierze, by zrozumiał, że „wolność ludu nic innego
nie jest, tylko prawo człowieka”, by umożliwił miesz-
czanom stanowienie praw, tyczących się miast.

no-moralny, czyli nauka o należytościach i powinnościach człowieka, wydobytych z praw wiecznych, nieodmiennych i koniecznych przyrodzenia“. Dziełem tym, głęboko obmyślonym, odpowiada Kołłątaj na żywotne wówczas pytania, czy ludzie mogą żądać dla siebie nieograniczonej wolności, i czy może być między nimi bezwzględna równość. Na obydwa pytania odpowiada przecząco, dowodząc, że ponieważ człowiek nie był nigdy skazany od przyrodzenia na samotne życie, lecz zawsze rodzi się i żyje w społeczności, więc z jednej strony ma prawo korzystać z pomocy społeczeństwa, a z drugiej ma względem tego społeczeństwa pewne obowiązki, które pełnić powinien, choćby one krępowały do pewnego stopnia jego wolność. Podobnież nie może być bezwzględnej równości między ludźmi, bo samo przyrodzenie stworzyło w nich wielkie różnice: „jeden ma większe siły fizyczne, drugi umysłowe; jeden jest zdolny do wszystkiego, drugi do jednego tylko, a trzeci do niczego; jeden ma te pożądliwości i namiętności, drugi inne“... Dlatego też może być między ludźmi równość pod temi tylko względami, pod któremi przyrodzenie chciało ich mieć równymi, a które społeczeństwa przez wzajemne porozumienie się wyraźnie stanowią. Książka ta, napisana przez Kołłątaja w celu przeobrażenia pojęć społecznych szlachty, nawykłej do samowoli, oraz wprowadzenia pewnego umiarkowania do kół, skorych do głoszenia zasad powszechnej i bezwzględnej równości, wyróżnia się szczególnie jasnym wykładem i była wprowadzona, jako podręcznik, do szkół krakowskich.

Uwolniony w grudniu 1802 r., Kołłątaj wrócił do kraju schorowany, bez środków do życia i nie grał już wybitnej ro-

li ani w życiu politycznym ani społecznym narodu. Przyczyną tego był nie tyle brak energii, ile nieufność względem Kołłątaja i to nawet ze strony dawnych jego przyjaciół i zwolenników. Nieufność ta powstała z ciężkich zarzutów, jakie publicznie uczyniono wielkiemu reformatorowi. Zarzuty te były najczęściej niesłuszne, a wpływały już to z nienawiści przeciwników, już to z powszechnej w chwilach niepowodzeń skłonności do składania winy na innych. Dziwić się nie można, że oskarżenia nie ominęły Kołłątaja, skoro nie ominęły żadnego z wielkich działaczy tego okresu, nawet samego Kościuszki. Pozostaje tylko żałować, że uniemożliwiły one Kołłątajowi dalszą pracę, choć pragnął on pracować i mógłby oddać sprawie publicznej niejedną jeszcze ważną usługę.

Z ostatnich lat życia Kołłątaja zasługuje na uwagę jego korespondencja ze słynnym wizytatorem szkół w gubernji Wołyńskiej, Podolskiej i Kijowskiej, założycielem znanego liceum Krzemienieckiego, Tadeuszem Czaekim, którego reformator Akademji krakowskiej wspierał wielą światłemi radami. Nie wdając się w rozbiór tej korespondencji, podkreślę tylko jeden szczegół z przesłanego Czaekiemu „projektu urządzenia szkół parafjalnych“. Zaleca tam Kołłątaj zmuszanie rodziców pod groźbą kar pieniężnych do posyłania dzieci swych, mających określony wiek, na naukę do szkółek, a więc pragnie wprowadzić obowiązkowe nauczanie powszechne, jakiego u nas do dziś dnia jeszcze nie ma.

W niedostatku, napróżno starając się o odzyskanie odebranych mu po upadku kraju dóbr, tak własnych, jak i wziętych w dzierżawę, umarł Kołłątaj w Warszawie 28 lutego 1812 roku.



Łąka.

*Jak cygan młody z dziewczyną kochaną
w przyrodę pójdziemy na łąki pachnące,
z ich pieśnią poważną budzić się co rano...
Już czuję, jak pachnie wonne rośne siano,
jak snują się w słońcu zapachy po łące,
już słyszę, jak ciszę piosnką swoją mącą.*

*Gdzieś konia pochwyć w stalowe ramiona,
za grzywę go ująć—niech zrzuca, niech zdepcel!
—Ja pędzę wprost w tabun, arkan chwyta ńrebce
dla Twego zaprzęgu — Ty ma, ukwieconal!*

*Dla Ciebie w noc białą od srebrnego nowiu
cyranki uspięne wylawiać w sitowiu,*

*miód złoty kraść z pasiek, z sadów wonne grusze,
z pałaców klejnoty... Hej! szczęście pastusze!*

*Pod jesień—gdy niebo splotwieje i zblednie
zagrzebać się w miękkiej mchów leśnych pokrywie
i nocie tam przespać, a znów rano, we dnie
z ptakami się drażnić i słońce pić cheiwie.*

*Gdy rankiem mgieł sinych lekkie pióropusze
spowiją już słońce zimne, konające,
pożegnaj Cię wtedy na tej naszej łące,
pożegnaj te lasy i szczęście pastusze...
Bo zima nadchodzi...*

A n. All n.



A n. All n.

Zorze Drotheimu.



II.

Chopin.

— Pardon!

Eryk, zbudzony z zadumy srebrzystym szczękiem ostróg, odsunął się od zwartej gromady ludzkiej.

Jeszcze raz rozejrzał się po wielkiej hali fabrycznej i zatrzymał wzrok na trupie Mierzejewskiego. Ciało inżyniera, przykryte płaszczem, spoczywało na radej rogoży a stóp jednej z maszyn. Dokoła prężył się elastyczny krąg ludzi, w milczeniu przyglądających się skrwawionej głowie zamordowanego.

Szarzejący świt wyciskał z za chmur sinawe strumyki światła, od którego żółkł stopniowo chorobliwy nimb przepalonych żarówek elektrycznych.

Przez chwilę Eryk przysłuchiwał się z zajęciem rozmowie, jaką prowadził ze starszym majstrem uzbrojony w notes i ołówek urzędnik policji. Szare szynele żandarmów snuły się w tłumie, brzęcząc ostrogami. Pod oknem nieruchomo sta-

ła gromadka żołnierzy, a wzdłuż lśniących żądał ich bagnatów, przebiegały od blaski świtania, drobne i migotliwe, jak elektryczne iskry.

— Mierzejewski zamordowany!

I zdawało się Finsenowi, że to jakieś opiekańcze bóstwo staro-skandynawskie zesłało, jako przestrogę, śmierć młodego inżyniera, że bunt, gniew i anarchja zaczęły już wypisywać swą mściwą litanję, której pierwszym wyrazem jest śmierć Mierzejewskiego.

Finsen czuł, że czas mu już wracać do spokojnej swej skandynawskiej ojczyzny, odejść ze wspomnieniami o Polsce, na których szczycie krwawią się zwłoki inżyniera.

Eryk z trudem oddychał powietrzem kwaśnym od wyziewów smarów, dziegieci i kożuchów. W pamięci jego nie zgasły jeszcze łany sali balowej, nie pierzełły korowody barwnego mazura, nie zdą-

żyły jeszcze ulotnić się zapachy perfum i kwiatów. Czasem zjawiała mu się przed oczami przerażonej wyobraźni ciężka i spracowana pięść i mówiła mu brutalnie — won stąd. — Oczy mu zasłoniła czerwona płachta, ruchliwa jak chorągiew na wietrze, a za którą widział szumiące morze płomieni, skłębienia dymów, widział twarze złe, o oczach rozszerzonych i tysiące rąk, wyciągniętych ku niemu. Ostrą sylwetą rysowały się potworne kontury fabryk, kłających niebo szczytami kominów.

— Rewolucja... — szepnął Skandy-nawczyk.

Widział po raz pierwszy, jak hamowane w ciągu dziesiątków stuleci za pomocą form społecznych zwierzę ludzkie zrzucało z siebie pozory człowieka i, zaciśnięwszy pięści, jęło tratować nogami dorobek kulturalny ludzkości — ład i sumienie. Zemsta odtrąciła sprawiedliwość i krwią wypisała swe hasła. Pojęcia dobra i zła splątały się, tworząc chaos. A wszystko to przykrywała ogromna czerwona płachta.

— Rewolucja... — wyrwało się Erykowi z ust.

Usłyszał to obok stojący starszy majster, Hołody, człowiek zgorzkniały i wścieknie niezadowolony z otoczenia.

— Ot, rewolucja. Masz pan rewolucję. I takiego nawet zabili, sobakil!

— A za co? — spytał Finsen.

— Robotnicy żądali wydalenia jednego z majstrów, który wskazał administracji fabrycznej kilku agitatorów, pracujących w naszej fabryce. Mierzejewski wszystkich ich wydali. A teraz masz — zemsta!

Hołody otulił się mocniej bekieszą, splunął, targnął wąsem i poszedł znów do swej celi na wódkę.

Dojrzał już dzień ciężki, pochmurny.

Krokiem zmęczonym ruszył Eryk ku wyjściu, zatrzymał go jednak drażniący chłód oczu, patrzących nań uporczywie z rogu hali.

Finsen poznał Krasę. Bezwiednie szedł, przyciągany węzowym spojrzeniem, obezwładniającym nadwątłą wypadkami nocy wolę Norwegezyka.

Kraska stał spokojnie, wsparty o żelazną balustradę, okalającą koło rozpędowe i krzywił bladą, już jakby zgniecioną twarz w grymas powitalnego uśmiechu.

— Nastrój nieszczególny? Pod płaszczem widzę frak i pęk fijołków. Bał, przypuszczam, udał się świetnie?

Eryk milezał.

— Pachniecie zdaleka arystokratycznym oddechem zabawy, — drwił w dalszym ciągu Kraska, maskując dłonią swą rzadką i nierówną brodę. — Są rzeczy, które przerażają swą treścią. Rozumiem wasz stan. Wpaść nagle z wira mazura wprost na samo dno nędzy, gdzie spotyka się trupa człowieka, którego rewolucja postanowiła dosłownie wyrzucić po za nawias życia, — to przykro.

— Ohydne! — mruknął Eryk.

— Wielkie! — poważnie, niemal z religijnym skupieniem poprawił go Kraska. — Ja, widzicie, jestem synem robociarza, brat mój i siostra pracują w waszym oddziale. Ja wyrosłem w krzywdzie. Ja, kolego, szanuję rewolucję i korzę się przed gniewem ludu.

W Finsenie zagotowała się krew.

— Więc dajecie do zrozumienia, że usprawiedliwiacie dzisiejszą zbrodnię?

Kraska stawał się coraz zimniejszy.

— Powiedziałem: szanuję rewolucję i korzę się przed majestatem zemsty.

— A ja myślę, że sprawcy morderstwa powinni zostać powieszeni.

Finsen spotkał się z zimnym ostrzem oczu Kraski i jego spokojną odpowiedzią.

— O! to nigdy nie nastąpi. Tam, gdzie w grę wchodzi żywioł to mszczem się na nim byłoby co najmniej śmieszne. Czy pan, na przykład, podjąłby się osmagać piorun za to, że zabił pana brata? Czy pan nie nazwałby głupim człowieka

mszczącego się na okrucha skały, która spadając, zniszczyła wieś całą?

Eryk podniósł zdamione oczy na mówiącego.

— Czyli?

— Czyli, że rewolucja, jako objaw przesilenia, zachodzącego w życiu społecznym, jako konieczność, regulująca sprawy, nie przewidziane w żadnym kodeksie, trybunał, tworzący nowe prawa, rewolucja, odruch, nie liczący się z warunkami, rewolucja, barzycielka o twórczym gieniaszu rodzenia nowych form — rewolucja taka posiada swoje prawa. Prawa, nadane przez samą siebie. Widzisz pan, jest w niej moment jeden, gdy formy stare zostały obalone, nowe zaś jeszcze nie powołane do życia, nie ucieleśnione. Ten moment dojrzała potworność barztaazji nazwała anarchją, a dla nas jest to chwila rządów szczyrych niezem nie krępowanej woli.

Finsen coraz natężywiej badał.

— Czyli?

— Czyli, że śmierć Mierzejewskiego jest szczyrym odruchem woli zbiorowej duszy ludu, lecz jednocześnie świadectwem tęsknoty do sprawiedliwości. Czyli, że sprawcy śmierci Mierzejewskiego są tylko wykonawcami, rękami woli zbiorowej jednostki — ludu roboczego.

Dziwny skurek ścisnął gardło Erykowi. Znalazł człowieka dojrzałego i przytomnego, który z takim spokojem potrafił apoteozować morderstwo człowieka.

— Czyli, że pan usprawiedliwiasz ten czyn?

— Jeszcze raz powtarzam: korzę się przed prawami rewolucji. Pan stoisz teraz we fraku i we cylindrze. Pan wracasz z balu, z zabawy i uciechy. Pan mię nie zrozumiesz — jesteśmy z dwóch odrębnych światów.

W Finsenie pękła jedna struna jego spokoju. Słowa Kraski, jego doktrynerska frazeologia, umiejająca na zimno ro-

zumować o wylanej bez sądu krwi człowieka, brutalnie pokaleczyły mu instynkt etyczny i społeczny.

— Pańskie oczy mówią do mnie coś tak strasznego, czego nie mógłbym bez uczucia odrazy powtórzyć — szepnął.

Kraska nachylił swą twarz do twarzy Finsena.

— Ciszej pan mów. Dokoła mamy policję. A teraz powiedz mi pan, ale cicho, coś pan zobaczył w moich oczach?

We wzroku Kraski malowała się zimna i bezwzględna groźba. Widać było, że pod zimnym szkliwem oczu kłębią się zielonkawe iskry, które lada chwila wybuchną pożarem nienawiści.

— Widzę, szeptem cedził Finsen, — że panu byłoby bardzo nie na rękę, gdybym ja znał nazwiska morderców... Gdybym domyślił się, gdzie należy szukać inicyjatywy...

Oczy Kraski, dotąd nieruchome i zimne, ożywiły się i zaczęły biegać w orbitach, jak kulkі żywego srebra

I nachylał coraz niżej twarz swą do oczu Eryka, tak, że ten ostatni wprost fizycznie czuł, jak sypią mu się na twarz drobne i palące iskry rozdrażnionego wzroku.

Kraska stawał się coraz bledszy, niemal siny. Twarz jego krzywiła się szczególnie, a Finsenowi zdawało się, że ujrzał w niej grymas trwogi.

Norwegezyk nie mógł znieść zimnego promieniowania oczu Kraski i odszedł, zdławiony niewysłownym ciężarem smutku i oburzenia.

Gdy Eryk powrócił do domu, dzień szary i wilgotny prześlizgiwał się przez ciężkie opony chmur. Za oknami tajał brudny śnieg.

Krokiem znużonym podszedł do pianina i począł zeń wydobywać wiązanki misternych akordów. Czuł, że zachodzą w nim niezwykle jakieś przemiany, że jakieś siły nieznane i wrogie, pozbawiły

go czegoś bardzo ukochanego, co nosił w sobie od chwili pierwszych zastanowień dzieciństwa — spokoju i niewzruszonej mocy wierzeń i zasad.

Z klębów niedawnych wspomnień o balu i pierwszym akcie rewolucji, wychylała się jakaś przepaść, nad którą zachwiała się równowaga jego. Zdawało się Erykowi, że głową swą uderzył o zrab tej przepaści, że uległ zniszczeniu jakiś ośrodek jego mózgu, skapiający całą treść jego dotychczasowych wierzeń i umiłowań. Czerwony odbłask skrzepłej krwi zatarł w nim bezpowrotnie błękitny uśmiech radości życia.

Echa, zrodzone z gór i fiordów, stratawał okrzyk anarchji i mściwe hasła śmierci. Ciężar wspomnień, jaki wyniósł w ciągu nocy z dwóch światów, przysgniół w nim cel i poczucie wartości życia. Wypadki, w których nie mógł się jeszcze zorientować, skłębily wszystkie wrodzone pojęcia dobra, zła, odpowiedzialności i prawdy. Zamiast zórz słońca widział teraz pożogę i krew, zamiast muzyki ceh rodzinnych — odgłosy krzyków, mazura i słów nienawiści. Dawne tęsknoty straciły swój żywy, gorący kolor. Patrzył na nie teraz, jak na naiwne kompozycje starych gobelinów. Ojczyzna Norwegja, Drotheim — tonęły w mgłach, jak dawno słyszana bajka—Solveig...

Czemu o niej nie myślał w ciągu godzin?

Bal polskiej szlachty, jego urok szaleńczy, rewolucja, wywijająca czerwona płachta, szczątki zbarzonych maszyn fabrycznych, trup Mierzejewskiego—aformowały skłębioną barykadę, zasłaniającą widok na szmat życia ubiegłego. Norwegja—stała się wspomnieniem, Drotheim—legiendą, a Solveig—kwiatem mistycznym, w snach dzieciństwa wyśnionych.

Cała przeszłość straciła cechy rzeczywistości, stała się gorączkowym omamem, głuchym i pustym.

Eryk stał teraz wobec życia, które się zaczęło od balu, na którym wspom-

nienia o Solveig, modląc się nocą siną do złocących góry zórz polarnych, konały śmiertelnie zatrute jadowitym aromatem fijołków Reny.

Palce norwegeczyka biegały po białej klawiaturze i wypieściły wreszcie jedną z melodji, w której stary i rozręskniony Grek skarżył się na zimny i blade ton skandynawskiej wiosny. Melodję tą witał Eryk co rano, widziane we śnie sine sylwety gór rodzinnych, całował każdy uśmiech zbliżającej się godziny powrotu do starego domu swego ojca—pastora.

Z za mgławic wspomnień, na tle adamaszkowych draperji, za którymi w topieli dźwięków i światła toczył się mazur, zaszklily się oczy ciemne i pożarne i suknia czarna, poplamiona obficie płkami żywych fijołków. Zaszemrał cichszy niż myśl szept.

— Pokazałeś mi rozpacz naszego istnienia, pokazałeś serce polaka, a teraz...

A w melodjach, które wydobywał z czarnej trumny pianina, zobaczył rozmiękłe ugory i na miedzy pożółkłej kilka wierzb rozezochranych, jak kobiety obłąkane. Popłynęła skarga nocy jesiennej, rozpędzającej bezmyślnie ocieźne stada suchych liści. Ballada o konającym w wieczór jesienny parku opuszczonego. Opowieść o wygnańcu, który w noc swej śmierci kazał wiatrom mówić o ojczyźnie. Okrzyk pękającego z żalu serca, gdy tłoczy je pustka bezbrzeżna jesiennego zmroku. Smutek zgłiszcz osamotnionych i przez nikogo nie opłakiwanych.

Z gorączki wizji Eryk ocknął się na chwilę.

— Co to ja gram? Prawda, to Chopin. Wielki polski Chopin...

I znów zahaczał we wspomnieniach mazur w dwieście par, stargany alarmującym skowytom fabryk i hasłem rewolucji — Mierzejewski zamordowany!

— Tak, Chopin. On i Wyspiański wyrwali z piersi narodu serce i napisali

mu przesmatny, nieśmiertelny nekrolog sławy. Oni zbudzili ze snu hojne uroki historii i pokazali czerniejący w mrokach przyszłości — krzyż...

Powoli Eryk zapominał o tle rewolucji, w sinyh masach skał skandynawskich. Grał to, co mu wieczorami grywała Rena, obezwładniając wolę i gasząc tęsknotę do powrotu.

— A teraz chcesz mię zostawić w pustce? — Czemu w głosie jej dźwięczały łyzy? Czemu z takim lękiem masnęła me ramię ustami ta polska księżniczka z fijołkami?

Gdybyś ty, Reno, знаła moją Solveig słoneczną, to kazałabyś mi ją kochać.

Rito Solveig, dziewczyno o przeczystych oczach królowny z bajki!

Gdybyś znała Renę, kazałabyś mi ją pokochać.

Czemu ty, Solveig, nie masz takiego pożaru w oczach, czemu nie rzuciłaś kwiatów do stóp moich? Czemu ja nie mogę znaleźć usprawiedliwienia dla siebie, a wyrzutów dla ciebie?

Bal polski, rewolucja, nad ranem rozdzierająca ołowiem mózg marzyciela Mierzejewskiego, skargi Chopina, rzucane w gęstwinę jesiennego dżdżu — rozbiły moc moją. Zabrały błękit z duszy, stłumiły majestatyczny łoskot wodospadów naszych.

Rena i Chopin kazali mi zostać w Polsce. Na co? Na zatracenie moje. Na śmierć waszą — Solveig i ojeze mój. — Kazali mi uwierzyć w szczytne posłannictwo dręczenia się jadłem tysiąc już razy przeważanej treści wspomnień. Mierzejewski — mesjanista i mistyk — kazał mi dzisiaj pocałować krzyż i przysiąc, że będę ich.

Ale ja nie wierzę. Pomimo to jednak zostanę. Zatraciłem instynkt dobrego. Jestem tu skuty kajdanami, które ukała mi jedna noc.

Ale... Ale jeżeli nie wierzę, to nie dręczcie mię waszą tęsknotą — boję się jej. I nie zaślabiaj, Solveig, sinyh otchłani fiordu, bo i ja wtedy zajrzę w mrok śmierci. Niech świat się wali. Niech cyklon zburzy cały Drotheim, i katedrę św. Olafa, i naszą plebanję, i tarak Petersa.

Jeżeli nie wierzę, to niechaj zorze mojej ojczyzny nie zaglądają do okien mieszkania, z którego wypędzę pieśni Griega, a skarżyć się będę razem z Chopinem na smutek eeh jesiennego nocy.

Niechaj zorze Drotheimu gasną, gdy całować będę usta swej polskiej kochanki...

— Jeżeli zostanę....

Eryk podniósł głowę i przeraził się. Bo o zostaniu swym myślał spokojnie i bez uczucia bólu i wstydu.

(c. d. n.).

Neofobia

Dr. Julian Ochowicz w jednym z ostatnich zeszytów Sfinks'a porusza bardzo ważne zagadnienie, jak szkodliwą jest dla całości życia zbiorowego głupota ludzka, dotychczas niedostatecznie zbadana i wogóle lekceważona. Mamy niejedną historję cywilizacji, ale dotąd nikt jeszcze nie zdobył się na napisanie historji głupoty. A ta właśnie chęć chwalenia się obok niechęci zdania sobie istotnej sprawy z tego, czem w rzeczywistości jesteśmy, jest przyczyną wielkich strat w ogólnym życiu społecznym.

Boimy się zazwyczaj wszelkich rzeczy nowych; tłum jest bardzo nietolerancyjny: każda

nowa myśl wywołuje napaści, urągawiska. Rzadko bardzo zastanawiamy się nad rzeczywistą wartością danej idei, a tylko z bezmyślnością ulicznika „ścigającego niepraktykowany dotąd strój damski“ napadamy na każdą nowość, jedynie dlatego, że jest dziś jeszcze nowością.

Gdy spotykamy się z nową, dla nas niezrozumiałą rzeczą, przyjmujemy ją przeważnie przez prosty odruch bezmyślnego wzruszenia ramionami lub słowami powierzchowej krytyki. Zapominamy zajrzeć do historji ludzkości, która daje nam moc przykładów na to, jak to zazwyczaj najdonioślejsze odkrycia przyjmowane były nie tylko z niedowierzaniem, ale odkrywca często pomawiany był o szarlatanerię, lub uznawany był za warjata. Tak naprz. Klaud.

jusz Chappé, wynalazca pierwszego telegrafu optycznego, zropaczony bezmyślnością ziolków, którzy próbne rusztowania z ziemią zrównali, utopił się w studni, a w sto lat później potomni pomnik mu wystawili! Zresztą, wszak wszyscy wiemy, jak były przyjęte odkrycia Edisona, telefony, promienie Röntgena, ostatnie zdobycze w dziedzinie oddziaływania myśli ludzkiej na odległość i t. d. i t. d. Przykłady mnożyć można bez końca. Wszystko, czego narazie objąć umysłem naszym nie możemy, podporządkowujemy pod ogólną nazwę „to głupstwo“, zapominając tylko o jednym: że często twórca owego „głupstwa“ dlatego jedynie wśród współczesnych mu popularnym być nie może, że swoich towarzyszy o głowę przerósł.

Historia ludzkości ciągle mnoży przykłady, że często wystarczy kilkadziesiąt lat, aby tego, który za warjata wśród współczesnych uchodził, potomność ucieła jako wielkiego człowieka.

Czyż można wobec tego zbyt pochopnie być w swoich sądach?

Lecz niestety, takimi właśnie po większej części jesteśmy.

Dlaczego? Cóż wiecznie mamy być tymi bezkrytycznymi sędziami, czyż nigdy nie zdobędziemy się na to, by wobec rzeczy nieznaney, niezrozumiałey przez siebie, stanąć z całą powagą niewiadomego, który ma odwagę uświadomić sobie, że jeśli danej sprawy nie obejmuje, choćby był jaknajbardziej mądrym, najbardziej uczonym, to jednak wcale jeszcze nie znaczy, aby ta sprawa już z góry przesądzoną była, jako nie nie warta.

Sąd powierzchowny nie tylko tłum wydaje, ale, niestety, tak często i ludzie nauki dotknięci są neofocją t. j. do wszelkiej użytecznej nowości.

Stąd płynie wielkie zło społeczne, bo często ludzie wpływowi „w imię godności nauki“ mogą na długo postęp zatamować. Bo choć dziś już tylko uśmiechem politowania przyjmujemy wiadomość, że ongiś były czasy, gdy nowatorów na wolnym ogniu palono, tak często, niestety, zapominamy, że palenie na stosie i dziś jeszcze ma miejsce, tylko... my dziś, idąc z postępem cywilizacji palenie na stosie uprawiamy już tylko... w znaczeniu moralnym: wynalazcę nowej idei póty się gnębi, szykanuje, dręczy, póki on nie zniechęci się zupełnie i nie zaniecha poszukiwania nowych praw w nowej dziedzinie, co, niestety, tak często się trafia, ze szkodą nauk, rzecz prosta.

Przykładów na potwierdzenie przytaczać nie trzeba. Z pewnością nie jeden, nawet w prywatnym, codziennym życiu odnajdzie błąd po-

dobny, a jeśli weźmiemy pod uwagę ogólne życie społeczne, to historia aż nadto obfituje w podobne przykłady nietolerancji.

Dlatego też, pomimo pozornego postępu całość życia naszego pozostaje w gruncie rzeczy tym, czym była: ciemnotą niemal barbarzyńską z pozorami jedynie większego lub mniejszego postępu.

A wynika to stąd jedynie, jak słusznie zauważył dr. J. Ochrowicz „że my, starając się o postęp w najrozmaitszych kierunkach, nie dbamy wcale o udoskonalenie dusz. Wydaje nam się wprawdzie, że to czynimy, ucząc dzieci nasze coraz to więcej, ale nie spostrzegamy tego, że cała ta nauka, łącznie z higieną i gimnastyką—to tylko jednostronna hodowla tendencji wieku: praktycznego intelektualizmu, prześladowującego całkowicie rozwój człowieka, jako człowieka, duszy jako duszy.

W wychowaniu młodego pokolenia popełniamy błąd w samym założeniu: uczymy niby pozornie niewzruszonych praw chyba po to jedynie, aby później, w wieku młodzieńczym, gdy wiele z tych „niewzruszonych“ prawd odpadnie, stanąć na rozdrożu, z zapytaniem beznadziejnym: a co dalej teraz? Zapominamy, że od początku wychowania trzeba naukę postawić tak, aby była ona właśnie tym dochodzeniem prawdy, a nie samą prawdą. A tymczasem taka szkoła dzisiejsza jak i rodzice przeważnie mają tę niezym nieuzasadnioną pretensję, że uczą swych wychowańców «niewzruszonych» prawd, że dają im się już gotowy, zupełnie pewny sposób wiedzy, który tylko koniecznie trzeba zmieścić w głowach uczniów.

A jak się to robi?

Uczy się bardzo powierzchownie, bardzo po dyletancku. Uczy się nprz. katechizmu, ale nie dba się o szczepienie cnót Chrystusowych, mówi się niby o prawdzie życia, ale jednocześnie co krok, wobec tych wychowańców prawdę tę depcze się, omija; mówi się o obowiązkach względem społeczeństwa, a jednocześnie tolerujemy tylko własne słabości, wyrozumiali jesteśmy tylko dla siebie, dla drugich mamy tę surowość, którą bezwzględnie tylko w stosunku do siebie stosować powinniśmy. Mówimy o potrzebie Prawdy i Dobra dla wszystkich, a żyjemy sami tylko surrogatami prawdy, miłości Chrystusową rozumiemy tylko w znaczeniu miłości egoistycznej. A jeśli katechizm odrzucamy, to też nie w imię jakiegoś ideału Dobra, jeno zazwyczaj stawiamy sobie inne małe ołtarzyki i szczepimy moralność swego stronnictwa i nienawiść do innych.

A główny cel nauki tej—to dostać klucz do kariery, bo przecież «uczymy się dla życia».

Ale miejmy odwagę zapytać: dla jakiegoż to życia?

Wehodzimy w nie wreszcie z tą samą niezaspokojoną żądzą kariery jedynie. Toczą się wciąż te same niskie zapasy, wśród których rzadko kto nowych dróg szuka, a niewielu jeszcze rozumie siłę związków duchowych dla wspólnych celów. Zawieść, prywata, podporządkowanie interesów publicznych własnym, osobistym sprawom co kroku spotykamy.

A wszakże, jeśli już mamy mówić o postępie, bierzmy te rzeczy głębiej, ogarniajmy całość życia, nie tylko jedną jego cząstkę. Zróbmy przegląd nie tylko zewnętrznych naszych czynów, tych dla oka ludzkiego, lecz zastanówmy się głębiej nad istotą wewnętrznych czynów naszych. Równowaga ich—dopiero stanowić może o prawdziwym postępie ludzkości.

St. Ambroziewiczowa.



Zerwanie z demokracją rosyjską.

Podczas obrad o nadaniu miastom naszym samorządu, który, jak wiadomo, przeszedł w Dumie w zmienionej przez Radę Państwa na naszą niekorzyść pierwotnej redakcji rządowej, zaszły ostre starcia pomiędzy naszym przedstawicielstwem a demokracją rosyjską. Starcia te doprowadziły do zupełnego zerwania, nie mówiąc już o skrajnej lewicy, z partją wolności ludu (kadeci), przedstawiciele której byli, jak dotąd, jedynymi w Rosji rzecznikami nadania Królestwu autonomji, manifestując to niejednokrotnie w swoich uchwałach, poczynając od pamiętnego zjazdu ziemców w Moskwie w roku 1905-m.

Sytuacja obecna stanowi przełomowy moment w dziejach naszego młodego parlamentaryzmu i niewątpliwie będzie miała doniosły wpływ na układ przyszłych stosunków polsko-rosyjskich, to też prasa nasza i rosyjska różnych odcieni poświęca wiele miejsca tej sprawie, starając się oświecić ją każdy ze swego punktu widzenia.

Będąc zdania, że otrzymanie samorządu w tej lub innej formie jest lepsze, niżby go wcale nie było, czyli nie mając pod tym względem uprzedzeń do stanowiska Koła Polskiego,—postaramy się nakreślić przebieg całej tej niezwykle doniosłej dla narodu naszego sprawy możliwie bezstronnie, nie ukazując, jak to czynią niektórzy, tylko jednej strony medalu. Wogóle, nie krępując samodzielności Koła i nie żądając od niego za wiele, mamy prawo jednak wymagać od naszej reprezentacji, aby powierzony jej sztandar skołatanego narodu, z wypisaną na nim dewizą „Za naszą i waszą wolność“, niosła wysoko, chroniąc go od pocisków. Jest to kwestja godności narodowej, o czym było wiele mówiono i obiecywano podczas ostatnich wyborów do Dumy.

Pierwsze wyzwania pod adresem przedstawicielstwa naszego rzucone zostały w dyskusji samorządowej w dniu 18 czerwca, miałowicie: Szczepkin (kadet) powiedział:

„Postano was nie po to, aby uprawiać lokajstwo, ale by stanowić prawa“; Kiereński zaś (grupa pracy): „Posłowie polscy nie są przedstawicielami swego narodu, lecz zdrajcami“.

Na obelgę, uczynioną przez tego ostatniego, Koło Polskie zareagowało wyzwaniem go na pojedynek, po odrzuceniu zaś pojedynku, ogłosiło następujący komunikat do posłów Domy: „Na posiedzeniu Dumy Państwowej w dniu 18 b. m. poseł A. F. Kiereński pozwolił sobie oświadczyć w swej mowie, że uważa przedstawicieli narodu polskiego w tej Izbie za zdrajców swego narodu. Obelżywe to oświadczenie musiało wywołać wśród posłów polskich protest stanowczy w postaci żądania przez każdego z nich od p. K: właściwego zadośćuczynienia. Ze względu wszakże, iż szereg takich żądań stawiałby p. K w nierównych wobec przeciwników warunkach, zgromadzeni posłowie polscy zarządzili losowanie, z którego wyszedł p. F. Raczkowski. Obrani przezeń świadkowie wyzwali w jego imieniu p. K., który oświadczył, że, nie będąc zwolennikiem pojedynku, uzależnia swój w nim udział od uchwały swego stronnictwa, nie odmawia wszakże przekazania sprawy swoim pełnomocnikom. W dwóch zaszłych potem spotkaniach świadków obu stron do żadnego porozumienia nie doszło, ponieważ przedstawiciele p. K. bezwzględnie uchyliłi pojedynek, świadkowie zaś p. Raczkowskiego odrzucili wniosek przekazania sprawy sądowi honorowemu, uważając, iż obraza była o tyle poważna i oczywista, że jej następstwem mo-

że być tylko pojedynek, albo przeprosiny stanowcze i niedwuznaczne. Zalecana, przez przedstawicieli p. K. formuła odezwy pisemnej do prezesa Koła Polskiego lub oświadczenia z mównicy Izbowej warunkom takich przeprosin nie odpowiadała, od pojedynku zaś p. Kiereński się uchylił. Rozważywszy powstały stan rzeczy, posłowie polacy do Dumy przyszedli do wniosku, że p. K. widocznie woli nie ponieść żadnej odpowiedzialności za swoje słowa i czyny, wyłączając się w ten sposób z kategorii ludzi, uznających taką odpowiedzialność za warunek nieodzowny poszanowania godności własnej. Nie widząc dalej żadnych innych, prócz zalecanych przez świadków p. Raczkowskiego, godnych nas sposobów osiągnięcia odpowiadającego obrazie zadośćuczynienia podajemy rzecz niniejszą do wiadomości p.p. posłów do Dumy Państwowej“.

Grupa Pracy, w odpowiedzi na powyższy komunikat, wysłała ze swej strony obszerne oświadczenie do członków Dumy, w którym zarzuca obranie niewłaściwego sposobu obrony godności ludzkiej—walkę fizyczną i dowodzi, że jakoby Koło Polskie, występując jawnie przeciwko zamknięciu obrad o samorządzie, prowadziło jednocześnie zakulisową agitację za zamknięciem tychże obrad. Odezwa Grupy Pracy, kończy się jak następuje: „Taka podwójna gra, skierowana przymtem do pozbawienia głosu obrońców demokracji polskiej, języka polskiego oraz uciskanych narodowości w Królestwie Polskiem, jest celowym fałszowaniem opinii zarówno Dumy, jak i szerokich kół społeczeństwa, i jako taka winna być najostrzej potępiona, członkowie zaś Dumy, którzy pozwolili sobie na to, winni być napiętnowani imieniem niegodnych szacunku działaczy społecznych. W warunkach podobnej, niedopuszczalnej—dwulicowej polityki, obarczanej przytym odmową przyjęcia sądu honorowego, wyzwanie na pojedynek posła Kiereńskiego przez 14 posłów polskich, stanowiło dla nich jedynie sposób uchylenia się od odpowiedzialności społecznej i ukrycia swego postępowania politycznego w hałasie konfliktu osobistego. Samo się przez się rozumie, iż dopomóc posłom z Koła w tej niegodziwej grze grupa pracy nie mogła i musiałaby odrzucić wyzwanie na pojedynek jej przedstawiciela i w tym wypadku, gdyby Grupa nie stała nawet na punkcie widzenia zasadniczego odrzucania pojedynku, jako środka do rozwiązywania politycznych i jakichkolwiek innych konfliktów. Wobec tego wszystkiego, Grupa Pracy, wyra-

żając solidarność swą z Kiereńskim, który wyraził w wystąpieniu swym w d. 18 czerwca r. b. nastrój wszystkich członków Grupy oraz ściśle zastosował dalsze swe kroki do jej uchwał, zwraca uwagę wszystkich członków Dumy Państwowej na to, iż oskarżenia, rzucone Kiereńskiemu w liście 14 posłów—polaków, zupełnie nie są uzasadnione przez istotę rzeczy, nie zgadzają się z przebiegiem rokowań, poparte są przez fałszywe twierdzenia i dlatego są wyraźnie nieuczciwe i niegodziwe. Zarazem frakcja Grupy Pracy uważa za konieczne napiętnowanie przed forum opinii publicznej dwulicową politykę Koła Polskiego, małodusznie pokrywającego brak zasad politycznych przez odmowę poddania sprawy pod rozważanie bezstronnego sądu honorowego“.

Punktem kulminacyjnym dyskusji samorządowej było wystąpienie Rodiczewa (kadeta), dotychczas gorliwego obrońcy spraw polskich, przeciwko polityce Koła Polskiego. Odpowiedź Rodiczewowi w imieniu Koła dał poseł nasz Harusewicz na posiedzeniu Dumy w dniu 24 czerwca r. b. Przemówienie posła Harusewicza i ostatnie słowo Rodiczewa przytaczamy poniżej w dosłownem brzmieniu.

Mowa posła Harusewicza.

Wygłosił tutaj mowę przedstawiciel frakcji wolności ludu, na którą zmuszony jestem odpowiedzieć.

Przedstawiciele frakcji K.-D. ciągną nas na drogę ascetyzmu politycznego, lecz nie na tem polega moralno-polityczna strona, o której mam parę słów powiedzieć.

Po pierwsze—nie dawaliśmy pełnomocnictw nikomu z przedstawicieli frakcji K.-D. do dawania nam jakichkolwiek lekcji postępowania politycznego (oklaski prawicy i centrum) w sprawach dotyczących naszego kraju i naszego narodu.

Muszę kategorycznie protestować przeciw tego rodzaju wskazówkom, tem bardziej, że przez cały czas istnienia Dumy dawaliśmy przykład umiarkowania politycznego: widzieliśmy błędy posłów z frakcji K.-D., a jednak milczeliśmy, pojmując trudności położenia danej partii politycznej. Milczeliśmy tem bardziej, że odpowiedzialność za te czyny brała frakcja K.-D.

Nie jest to kwestja obrazy, a sprawa samodzielności, która nie może być zdecydowana inaczej, niż tak, jak w obecnej chwili, t. j. przez kategoryczne odparcie wskazań frakcji K.-D.

Jest tu jednak i strona moralna. Asce-tyzm polityczny propagować mogą tylko —

asceci polityczni, lecz jestem przekonany, że frakcja K.-D. na takim stanowisku nie stoi. (Oklaski prawicy).

W III Dumie rozpatrywano projekt samorządu ziemskiego w gubernjach astrachańskiej, orenburskiej i stawropolskiej, analogiczny z obecnie omawianym. W projekcie tym, jako stanowiącym rozszerzenie ustawy z r. 1902, są ograniczenia dla żydów i pomimo to członkowie frakcji K.-D. bronili go, a poseł Szingarijew, odpowiadając p. Gegeczkowi, zmuszony był mówić to, co my mówimy obecnie, odpowiadając kadetom.

Pos. Szingarijew, gdy mu wskazywano, że projekt nie zgadza się z zasadami frakcji K.-D., oświadczył: „Cóż robić, zawsze to samorząd, a więc krok naprzód dla miejscowości, w których tego samorządu niema”. (Burzliwe oklaski prawicy).

Wówczas poseł Rodiczew milczał, frakcja K.-D. nie wносиła poprawek, a posłowie Sawieliew, Szingarijew i Winogradow wzywali Dumę do szybkiego uchwalenia projektu. (Oklaski prawicy).

Tylko jeden członek frakcji K.-D., poseł Russelowicz, protestował przeciw projektowi i głosował przeciw niemu. Widzicie stąd, iż rady, których nam udzielano, nie odznaczają się czystością w sprawie zasadniczego stawiania kwestji.

Obrona ustawy ziemskiej z roku 1902, czyż to nie ten okryty ranami Łazarz, którego wskrzesiła frakcja K.-D., a obecnie wzywa polaków, by go złożyli do trumny. (Burzliwe oklaski prawicy i centrum).

Czy nie jest to najczystsza restauracja i czy nie jest oczywiście, że w takich warunkach nie można bez podejrzeń zapatrywać się na nieproszone rady. (Śmiech na prawicy).

Mówią nam: zwracajcie się do opinji publicznej w Polsce, przypuszczając, iż są tam bardziej postępowe prądy, bliskie do tych zasad, których bronił Rodiczew.

Przytoczę opinję sędziwego przedstawiciela polskiej myśli postępowej, Świętochowskiego, który mówi: „z przemówień kadetów widać jasno, iż oni nas nie rozumieją; ich metoda rozstrzygania sprawy — to wulgarne doktrynerstwo (śmiech na prawicy), rozcinające zawiłane sytuacje mieczem frazesów. Chociaż przyjemny i pożądany jest dla nas sojusz z żywiołami, przesiąkniętymi podniosłymi ideałami, jednak nie oddamy swego istnienia za list pochwalny lub nagrodę ze strony najwspanialszej doktryny.

Kończę (Puryszkiewicz i Zamysłowski z miejsca: „prosimy, prosimy dalej!), oświadczając, że, jeżeli mowa pos. Rodiczewa oznacza wezwanie do zerwania, do rozdziału w parlamencie, to coż robić: «bez radości była miłość nasza, bez smutku będzie rozstanie». (Burzliwe oklaski na prawicy i w centrum).

Mowa posła Rodiczewa.

„Z niecierpliwością czekałem na odpowiedź Koła Polskiego; czekałem, myśląc, iż wyjaśni ona nieporozumienie, jeżeli je wywołała moja mowa. Niestety, wyjaśnienie nie nastąpiło. Jeżeli stoicie na stanowisku zasady: lepszy wróbel w ręku, niż gołąb na dachu, to trzeba wam było powiedzieć tylko jedno słowo: uważamy ograniczenia wyznaniowe za niesprawiedliwość. Po takim zastrzeżeniu mielibyście prawo do waszej argumentacji. (Śmiech na prawicy).

Tego zastrzeżenia jednak nie uczyniliście; obmyślaliście parę dni waszą odpowiedź i wreszcie wyraziliście swój ujemny stosunek do doktryny — wogóle. Tak czynią zawsze gdy odstępują od zasady: odrzucają ją i wyrażają pogardę dla doktryny. Cóż więcej odpowiedzieliście? Panowie kadeci, nie dawajcie nam rad. A czyż wezwanie do sążunka dla praw człowieka, to rada? Oświadczacie, że prawa człowieka są dla was niezachwiane, niezależne od pochodzenia i wyznania, pokażcie, że broń, którą chcecie bronić praw polskich, nie wypadnie wam z rąk. Oto czego chciałem od was i nie otrzymałem. Wiem, że gdy w tymże projekcie przyjdzie wam bronić praw języka polskiego, wam powie: „Bronicie go dlatego, że to język polski, a gdyby to był język innej mniejszości narodowej, byłibyście przeciwko niemu”.

Na tem stanowisku stać nie mogę i gdy was wzywam do opuszczenia go, gdyż będziecie na niem rozbić, mówicie mi, że daję nieproszone rady. Każde przekonanie — to rada. Że nie możecie być przekonani o konieczności tryumfu praw człowieka — to dla mnie jest nowość, że takie wezwanie nazywacie radą nieproszoną — to też nowość; radosnego nic w tem nie widzę. Cóż, o jedną jeszcze grupę będzie mniej w szeregach obrońców praw człowieka... (Oklaski lewicy).

To nic, Rosja da sobie radę. Przytaczacie nam przykłady, kiedy nie wnosiliśmy poprawek w obronie praw żydów. Będziecie zatem twierdzić, że dopiero w tej chwili staliśmy się obrońcami praw żydów. (Głosy na prawicy: „Nie, nie“!)

Ludzie, którzy nie rozumieją bezinteresownej obrony czyjegokolwiek prawa, zawsze

pytają, ile wam zapłacono. Tak pytają ludzie, którzy przywykli do otrzymywania — i gryzą, gdy otrzymają za mało.

Mówicie, że trzeba unikać ascetyzmu politycznego. Lecz argument ten sięga dalej. Przeciwnieństwem do ascetyzmu można nazwać taką sytuację, w której strona walcząca od razu kapituluje. Przypomina to romans, w których na pierwszej stronie — jest zwycięstwo, a na ostatniej — rachunek.

Napróżno mówiono o miłości bezradosnej. Pamiętamy niektóre pochody w III-ej Dumie i głosowania; mieliście krótkotrwały romans z październikowcami. (Śmiech).

Może nastąpi obecnie krótkotrwały romans z Zamysłowskim, on dał wam już zaliczkę — oklaskiem; jestem pewny, że oklaski te nie sprawiły wam przyjemności, niechaj więc będą one ostrzeżeniem.

Cokolwiek będziecie tłumaczyć — wściecie, że to, co z pogardą zwiecie doktryną, jest głębokim przekonaniem, i wściecie, że partja wolności ludu stanie w obronie wszelkiego prawa, a w tej liczbie i polskiego, niezależnie od stosunków osobistych, wbrew nim i naprzekór im, (Oklaski lewicy).

Wściecie o tem świetnie, że nie chodzi nam o stosunki osobiste o ile niema w nich nic wspólnego, cenimy przyjaźń tych serc polskich, które biją za wolność i prawo i które tą bronią zamierzają zwyciężyć.

Jakąż broń posiadacie oprócz tej, którą zwiecie pogardliwie — doktryną? Nacjonalizm? Lecz on w Rosji zwycięża pieniędzmi i siłą fizyczną. A gdy tego oparcia nie posiada, jakież oparcie, oprócz świadomości prawa, może otrzymać?

Wojsko i skarb polski? Ale tych niema. Tylko i jedynie w świadomości prawa, przesiąkającej do umysłów waszych przeciwników; to wasza siła, którą wy zwiecie doktryną i którą negocjacie.

Nacjonalizm wojujący narodu uciśnionego i wyrzekającego się jedyne go gruntu — prawa, to widok ciężki dla każdego miłośnika wolności i prawa, to jęk ginącego, to odpychanie gałęzi, która może ocalić. Jaką odpowiedzialność za przyszłe losy Polski bierzecie na siebie, gdy w ferworze polemicznym gotowi jesteście grać na przyjaznym stosunku do was rosyjskiego społeczeństwa postępowego? (Głosy na prawicy: „oj, oj!”).

Wyrzekający się rozsądku i nauki wściecie w czyje ręce wpadają? Przypomnijcie sobie słowa Goethego. Wyrzekając się rozum i nazywając go pogardliwie doktryną —

zabijacie sprawę życia. — Czy nie jest to zdrada względem sprawy życia?

Nie myślę, lecz sędzę, że ten, kto wszedł na tę drogę, nie poprowadzi swego narodu do jasnej przyszłości — wolności i prawa.

Kompromisami, intrygą i wypadkowemi sojuszami tutaj (pokazując na prawicę) do niczego nie dojdziecie. — Kończę, oświadczając, iż siła świadomości narodu rosyjskiego będzie zawsze razem z świadomością praw narodu polskiego, nie bacząc na drogę nieprawdy i intryg, na którą wejdzie ten lub inny wypadkowy przedstawiciel, nie bacząc na haniebne sojusze i nie bacząc na wielkie błędy! (Oklaski lewicy).

Z licznych głosów prasy, omawiających znamienity konflikt reprezentacji naszej z demokracją rosyjską, przytaczamy artykuł, p. t. „Tragiczna noc“, zamieszczony w № 24 „Prawdy“, odznaczający się szczerością, nacechowany głębokim bólem i wypowiedziany jakby jednym tchem. Oto jego treść w główniejszych wyjątkach:

«Koło Polskemu w Izbie rosyjskiej ciśnięto w twarz krwawą obelgę z ław, na których naród polski przywykł widzieć swych obrońców i swych towarzyszków niedoli.

— Zdrajcy! — krzyknęto im publicznie z trybuny i, mieszając ich pospołu z gromadą najczarniejszego w Dumie bractwa, dodano: — Nie posłowie jesteście, ale sługusi!

Lecz jakkolwiek piekący był ów policzek i jakkolwiek głośnie było echo, którym się odbił on poza ścianami Izby, nie w tej krzywdzie miał się dopełnić tragizm losów polskiego przedstawicielstwa w ową pamiętną, ohydłą, noc z 18 na 19 czerwca.

Nad głowami posłów naszych kołysało się coś gorszego, coś, czego zrazu spostrzec nie mogli, ale z czego dziś już zapewne sprawę sobie zdają narówni z całą Polską: oto, że projekt samorządu, którym ich częstowała prawica, był również tylko zniewagą, tylko urągliwym policzkiem!

Tragizm położenia tkwił w tym, że Koło Polskie projekt samorządu dziś uważać musi za dobrodziejstwo, gdy został on przez reakcję wymierzony przeciwko nam raczej jako szyderstwo.

Owóż są to konsekwencje ostateczne oportunistów!

Warto — było wyzwąć przeciwko sobie do walki całą opozycję rosyjską, sprzeniewierzyć się dumie swego narodu i najszczytniejszym jego ideałom? Warto — było narazić się na zniewagę z jednej strony w tym celu, by

otrzymać z drugiej, jako zdobycz jedyną, certyfikat hańby?

Więc na to schylono głowy polskie pod jarzmem Kaudyńskim październikowców, aby czołem uderzyć w ślepy mur—bez wyjścia!

Więc na to aż pod niebiosa wyniesiono hasło oportunistów, hasło drobnych interesów i drobnych zysków, aby u końca drogi dostrzec swą działalność w oślepiającym świetle nieoczekiwanej bezinteresowności? Bowiem najniższe pokłony zostały bez nagrody. Najkosztowniejsze zrzeczenia ideowe—bez równoważnika. Największe nakłady moralne — bez zysku.

Koło Polskie znalazło się nietylko na dnie bezradności, lecz także i na dnie—sromoty. Jest bezsilne i musi pozostać nieme. Na zarzuty odpowiedzieć nie umie. Na szyderstwo reakcji odpowiedzieć nie może.

Śród przepaści osamotnienia, jaka się wokół tych ludzi rozwarła, padają na ich głowy ze wszech stron pociski, a znikąd niema dla nich osłony. Padają oskarżenia, zniewagi, drwiny, ukłucia śmiechu, politowania, nienawiści. Oni milczą zachłystując się hańbą. Głowy pochylają i milczą, ponieważ i to od nich korne milczenie kupiła reakcja, której nie dość jest, by Polacy byli policzkowani: ona chce, by posłów polskich policzkowano bezkarnie i w ciszy.

A pośród gradu szyderstw i urągowiska, rzucony ręką niedbałą, padł w stronę Koła Polskiego jeden tylko kwiat uznania—symbol zatracający braterstwa broni — wszechsłowiański bratek Pyryszkiewicza.

O! Polsko — — —

Czemu nie masz władzy przekląć, niewolnico?!... ..

W innym artykule („Pyrrusowe zwycięstwo” № 27 „Prawdy” z dnia 5 lipca r.b.) ten sam autor pisze:

„Więc Koło Polskie stanie przeciwko tym, którzy zabezpieczyć chcą wolność obywatelską, w szeregach tych, którzy tę wolność tłumią?... Przeciwko tym, którzy dążą do ustalenia porządku prawnego, a po stronie tych, którzy uprawiają samowolę biurokratyczną? Zerwawszy z opozycją, gdzież posłowie nasi znajdą dla się oparcie? W centrum? na prawicy? Ależ znaczyłoby to tyleż, co szukać oparcia w kamieniu młyńskim, który własną pierś naszą przygniata! tyleż, co wspierać się na włóczni, której ostrze w serce nasze godzi!

Rozumiemy, że w przystępie szaleństwa, ktoś brzytwą może sobie gardło poderznąć. Ale jak zrozumieć człowieka, który żyjąc,

chce z tego aktu samobójczego wysnuć dla siebie filozofję życia?

Miejsce posłów narodu polskiego jest i będzie w Izbach rosyjskich zawsze — w opozycji. Ktokolwiek zaś zajmie stanowisko inne, nie posłem jest narodu, ale—agentem do szczególnych poruczeń, igraszką w ręku wrogów“.

W omawianej sprawie nie brak i głosów wręcz przeciwnych. Niektórzy zerwanie z kadetami uważają jako tryumf Koła Polskiego. Do takich, po za narodową demokracją, należy grupa „secesja” zwana. W ostatnim numerze „Tygodnika Polskiego” czytamy:

„Ogłoszenie o zerwaniu sojuszu Koła Polskiego z kadetami i lewicowcami rosyjskimi wywołało rozgoryczenie części postępców warszawskich, a nawet i niektórych redakcji nie specyficznie postępcowych, „Gońca” na przykład. Zdawałoby się nieomal, że po przemówieniu posła Harusewicza sprawa polska w państwie rosyjskiem jest raz na zawsze przegrana. Odtąd wrogiem jej będzie nietylko reakcyjna część społeczeństwa rosyjskiego, ale także cały rosyjski liberalizm i radykalizm, na którego nieubłaganą nienawiść zarobiliśmy sobie. Przykro nam — ale nie możemy sprawy brać tak tragicznie. Jeżeli chodzi o samą kwestję kontaktu z kadetami, to co do niej wypowiedzieliśmy się już przy sposobności nieraz. Nie uważamy jej za zasadniczą. Naszem zdaniem polityka polska w Dumie powinna być zasadniczo polityką Polski, t. j. wysuwającą na plan pierwszy sprawę odrębności narodowej. Idzie zatem, że taktyka reprezentacji naszej może się kierować jedynie zasadą wolnej ręki. Kontakty dla Koła są konieczne, ale ich podstawą może być tylko każdorazowy wspólny interes konkretny. Sojusz ideowy z tą lub ową partją rosyjską byłby z konieczności podporządkowaniem się całkowitem danej partji. Do tego zaś nie wolno dopuszczać. Słowem, Koło działać powinno i musi nieraz z frakcjami rosyjskimi, ale są to układy polityczne, nie ideowe—zatem, stosownie do sprawy konkretnej, którą w danej chwili chce przeprowadzić w Izbach, ma prawo wchodzić w układy równie dobrze ze skrajną nawet prawicą, jak ze skrajną lewicą.

Co zaś do samej deklaracji posła Harusewicza, to przyznać trzeba, że była ona w tonie niezwykle ostra. Kadetów mogła ona zabołec. Zwłaszcza zacytowanie przysłowia: „o miłości bez wesela i rozstaniu bez smutku”, uczynione dla efektu krasomówczego, mogło im się wydać zbyteczną *pointe*’ą. Ale

pamiętać trzeba o tem, że deklaracja pośła Harusewicza była wywołana mową Rodiczewa, mową tak wyzywająco bezzczelną w treści i formie, że jaskrawy ton przemówienia przedstawiciela Koła błędnie przy niej. P. Rodiczew nie ograniczył się wezwaniem Koła do szanowania liberalnej tradycji polskiej, ale ciskał anatemy na Polskę, na Polaków, wystawił ich jako zaprzańców, jako tyranów, a w końcu straszyć począł ich gniewem kadecim. On to zapowiedział zerwanie. A kadeci całem zachowaniem się swoim wykazali, że solidaryzują się ze swym mówcą. Na taką mowę odpowiedź pośła Harusewicza była zaledwie wystarczającą odprawą. Była ona podyktowana względami godności narodowej, i ktokolwiek dziś u nas nie przeciwko jej formie, ale treści protestuje, naraża też godność na szwank.

Nad jednym tylko ubolewać można — nad tem, że Koło dopiero teraz, w stosunku

do kadetów na stanowczość i godność się zdobyło, że nie podnosiło rękawicy, gdy ją rzucano z innej strony. Gdy np. pan Szczegłowitow powiedział o „zaśmiecaniu“ sądownictwa przez Polaków, Koło nie uznało za stosowne ostro zaprotestować. Tak samo było z wielu obelgami, które pod naszym adresem padały z ław dumskich. Mamy jednak nadzieję, że raz wszedłszy na dobrą drogę, Koło będzie umiało i względem innych zachować się tak, jak zachowało się wobec kadetów».

Prezes Rady Państwa Akimow odmówił postawienia projektu samorządowego na porządku dziennym. Wywołało to słuszne rozgoryczenie w Kole Polskim. Poseł Dym-sza w rozmowie z korespondentem „Birż. Wied.“ oświadczył, „że Polacy z przykrością muszą uznać pracę swoją w Dumie za nieprzynoszącą żadnej korzyści“.



Kościół łomżyński, zwany Farą.

Świątynia łomżyńska do najpiękniejszych i do najpoważniejszych Domów Bożych zalicza się. Wspaniały ten zabytek głębokiej starożytności, zowie się macierzystym całej okolicy kościołem.

Szata jego zewnętrzna zbatwiała, ząb czasu znaczne na niej wycisnął ślady. Aczkolwiek nadpsuta, całości nie zeszcpeca. Widza i ciekawego turystę w zadumę wprowadza ten Przybytek Pański z uwagi na piękność, harmonijność i spokój linii architektonicznych, jakie w śmiałem, będącem areydzieniem sztuki technicznej, sklepieniu, w oku rozpatrującego się znawcy promienieją.

Grube mury z cechą ówczesnej epoki, we względzie swej trwałości mało dotąd ucierpiały, dzięki mocnym i dobrze położonym fundamentom. Jakby ze spiżu wy-kate, ogrom ten wspaniały trzymają na swych barkach bez uszkodzeń.

Pokazały się wprawdzie kiedyś na ścianach rysy, trwożąc parafian, ale przy-

byli z Warszawy technicy oświadczyli, po grantownem zbadaniu całości Przybytku, iż znaki na murach, z charakterem i podobieństwem rozechodzenia się i ustępowania, są rozdzieleniem warstw wapiennej, grubo przyległego do ścian. Owi specjaliści, kierując się wiedzą i doświadczeniem, zdobytem przy praktyce, zapewnili zafrasowane miejscowe duchowieństwo i parafjan, że niebezpieczeństwo wszelkie wyłącza się.

Dom ten Boży początkiem swej egzystencji odległej sięga starożytności. Przeszłość wiekowabyłaświadczeniemstopniowego wzrastania, jakie nasz dzisiejszy łomżyński kościół przechodził, nim przybrał formę i całokształt obecny.

Nie odrazu stanął na miejscu, jakie teraz zajmuje.

Pierwiastki tatejszej parafji odnoszą się do 1000 r. Chrystusowego. Najprzód pobudowano kościół pod wezwaniem św. Wawrzyńca w Starej Łomży. Więc nie-

bawem, a przynajmniej w krótkim czasie po wprowadzeniu do Polski wiary św. (966 r.) Łomżyńska parafia zostaje do życia powołaną.

Skoro wyznawcy religii Zbawiciela i nauki Jego Boskiej liczebnie wzrastać poczęli, zajmując szersze przestrzenie ziemi, zrodziła się konieczność poważniejszych świątyń.

Widocznie, że dzisiejsza Łomża wprędce znaczeniem swem przeatutowała Starą Łomżę, skoro zdecydowano przenieść do niej parafię. Okoliczności i warunki nam nieznane na jej korzyść przemówiły. Bliskość rzeki zapewne nowej Łomży w tym względzie dażo dopomogła, co dotyczy ustalenia tu siedziby przełożonego parafji, czyli proboszcza.

W r. 1410, celem złożenia Bogu hołdów wdzięczności za odniesione sławne i pełne chwały zwycięstwo pod Granwaldem króla Władysława Jagiełły nad Krzyżakami, przystąpiono do pobudowania kościoła pod wezwaniem Matki Boskiej. Plac pod tą świątynią obrano tam, gdzie egzystuje obecnie klasztor Benedyktynów. Był to właśnie kościół parafjalny, konsekrowany przez biskupa Jakóba z Kurwanowa, płockiej diecezji. Łomża podówczas do tej ostatniej należała.

W tym samym czasie stałe zostały nakreślone granice parafji łomżyńskiej.

Tenże sam pasterz uposażył i dokonał kanonicznej erekcji kościoła.

Nie było jednak przeznaczonem stać w tym miejscu przybytkowi Pańskiemu i nosić charakter parafjalnego kościoła. Z czasem bowiem książęta Mazowiecy pobudowali kaplicę, opiece św. Anny oddaną.

Skutkiem obrotu podobnego stanu rzeczy, wyrosła konieczność, z myśli i zamierzeń Dostojnych Fundatorów wypływająca, i potrzeba zastosowania się do Ich woli.

Tedy po obmyśleniu planu nowej świątyni, przystąpiono do wprowadzenia go w życie. Rysunek niezwykły; autor

takowego był utalentowanym technikiem. Szkoda, że ani śladu, mogącego naprowadzić na domysł, kim on był.

Robota około kościoła prowadzona, na półdrogi zatrzymaną została. Jakie powody i przyczyny na zaniechanie tak ważnego dzieła wpłynęły, niewiadomo.

Kroniki błędnie zaznaczają rację zaprzestania budowy kościoła — napad szwedów, boć nikomu nie jest tajem, że ta klęska spadła na kraj nasz, lecz znacznie później.

Szwedzi zajęli wprawdzie całą Polskę, lecz dopiero w roku 1655.

Fabrykę, o jakiej mowa, przerwano po złączeniu kaplicy św. Anny z prezbiterjum dzisiejszem, które też i pokonsekrowaniem zostało.

Po znacznej pauzie, bo przeszło po stu latach, Ks. Wojśław Wojśławski, kanonik płocki i warszawski, proboszcz łomżyński i wizki, podjął przerwana około kościoła robotę w r. 1525. Szczęśliwie i pomyślnie chwalebna sprawę budowy łomżyńskiej świątyni, w stanie w jakim obecnie widzimy, do końca doprowadził wzmiankowany kapłan. Jako starosta ziemi łomżyńskiej i notariusz książąt Mazowieckich, posiadał dostateczne środki na pokrycie wydatków, przy budowie kościoła poniesionych. Zatem świątynia obecna, łomżyńska, gotykonadwiślańskiego stylu, w XVI dopiero wieku, we względzie budowy, skończoną została.

Rozwój budownictwa chrześcijańskiego, w którym ono doszło do szczytu, zaspakajając potrzeby dachu i warunki sztuki, jest właśnie styl gotycki — czyli ostrołukowy, t. j. łuk ostry. Styl, tak bogato w sklepienia i wnętrza tutejszego Przybytku Pańskiego rozwinięty.

Cały nastrój dachu technicznego, rozlewający się w artyzmie żeber i śmiało rozpiętego sklepienia, najpóźniejsze pokolenia z podziwem i zachwytem sławić będą genjusz ówczesnego architekta i murarza, który umiał tak misternie

plan jego wykonać. Zdolność wykreślenia planu omawianego i wprowadzenia go w życie, pozwala suponować głęboką wiarę autora tego arcydzieła. Tylko przekonani religijnych artysta, obraz świętego namalując, zadawałnając nawet karpysznego krytyka i znawcę. Światłocien i technika dzisiejszych obrazów, nie do życzenia nie pozostawia, ale dach świętości brak im po większej części.

Ślusznie więc możemy chlabić i szczyć się swoją Farą, w niczem nieustępującą dzisiejszym nawet najwspanialszym Bazylikom pod względem wykończenia wewnętrznego.

To pomnik, to zabytek i świadek dawnej sztuki i umiejętności inżynierskich, godzien troski i najżyyczliwszej opieki parafjan, żeby bez uszczerbku oddać i przekazać go dalszej potomności.

Przenosząc się myślą w inną sferę, pozostającą w kontakcie i łączni z kościołem, mianowicie zatrzymując się uwagą nad proboszczami tej parafji, dziwić się musimy, że zastęp ich nader drobny w porównaniu z setkami lat, jakie od erekcy kościoła łomżyńskiego upłynęły.

Szereg zarządzających tą parafją, mało znaczący, licząc bowiem od 1-go, t.j. Ks. Wojstawa Wojstawskiego, dzisiejszy prepozytus jest 27-my.

Wikarjusze zaś w poważniejszej cyfrze występują.

Kronikarz skrupulatnie chronologicznego trzymając się porządku, notuje razem z obecnym, 186-iu pomocników proboszcza.

Dzielią się oni na mansjonarzy i wikarjuszów. Ci ostatni dopiero, jako tacy w r. 1865 występują, t.j. od czasu sekularyzacji nieruchomości, będącej własnością kościoła.

Mansja, stałe mieszkanie oparte na pewnej podstawie. Etymologicznie albo źródłowo, jest to ksiądz zostający na mansji ze stałym utrzymaniem z zapewnioną nazawsze sustentacją.

Mansjonarze łomżyńscy, spełniający zarazem obowiązki parafjalne, posiadali trzy włóki ziemi i tak nazwany deputat—drzewo w naturze.

Obejmując tę prebendę, prezentowani władzy djececzjalnej przez prepozyta miejscowego, składali wobec powagi episkopalnej przysięgę kanoniczną. Instytucja więc ich odbywała się wedle formy, do której każdy kapłan, probostwo obejmujący, stosować się musi.

Przywilej nadawał im zarząd parafji dyrektywnej, proboszcz zaś inspektywnie kierował oweczarnią Chrystusową, sobie powierzoną.

Rachując od erekcy do czasu wyżej zaznaczonego, mansjonarzy liczy się 150. Dzisiejszy łomżyński proboszcz cyfry te, jako ostatni mansjonarz, w r. 1865 zamyka i kończy. Wikarjuszów łącznie z tymi, którzy obecnie pozostają przy kościele tutejszym, liczymy 36-ciu.

Ktokolwiek z uprzejmych czytelników, mając dokładniejsze dane parafji tej dotyczące, i, posiadając ściślejsze statystyczne wiadomości, raczy niniejszą kronikę dopełnić.

X. Józef Lendo.

W Świętojańską Noc.

Cicho w dal płyną modrej Narwi fale...

I pieszcząc łagodnie podnóże swych wyniosłych brzegów, leniwie toczą się w dal — za widnokrąg swych świetlnych wód. To znów, mieniając się w złocisto-purpurowych blaskach zachodzącego słońca, odbijają w sobie przejrzysty lazur wieczornego nieba.

Słyszysz jeno ciche, nieuchwytne dźwięki, którym wtóruje echo z nadbrzeżnych pól i lasów.

Łub też zakotłuje się coś we wnętrzu.... plask, i koła wodne, z początku małe, później coraz większe i większe

płyną, aż odbijają się o brzegi, niknąc na zawsze w ciemnej wód topieli.

I znów cisza...

A na łące usianej barwnym polnym kwieciem, jał kłaść długie cienie, cichy, letni wieczór.

W oddali, z bagien i moczarów — powitał zbliżającą się noc, chórally rechoł żab, lecz i ten zwolna milknąc, zlał się z ostatnimi głosy uchodzącego dnia, aż wreszcie zamilkł zupełnie...

Z wód jęły się unosić szare mgły i opary.

Królowa Noc wszechwładnie zapawnowała i, usianym w gwiazdy, czarnym swoim płaszczem otuliła ziemię...

Powoli i las stary zbierał się do spoczynka...

Ostatnie głosy tętniącego w łonie jego życia, zmieniały się w jakieś nieokreślone i tajemnicze dźwięki... Rozłożyste konary odwiecznych drzew jego, poruszane lekkim wiatru powiewem, szepotały słowa niezrozumiałe, ciche, ostrożne, zda się zwierzały tajemnicie straszne, gdzie włos staje dębem i szpik w kościach krzepnie. A tam z mrocznych gąszczy wybiega pieśń prastara, rzewna, w mgle wieków zrodzona, lecz już zapomniana... brzmi jej nuta tęskna.

To pieśń praojców naszych.

Brzmi w szumie odwiecznych dębów i wybiega z gęstwiny, a tam wiatr porwawszy ją na skrzydła swe, wznosi hen, po polance i gra wśród szumu traw i nadbrzeżnych sitowi.

.....

Postać młodej dziewczyny przebiegła szybko przez polankę i kroki swe skierowała do lasu. Szła śmiało, a wiatr, jakgdyby zdumiony zuchwałością człowieka, naruszającego spokój i tajemnicę boru, mocniej zakotył konarami drzew.

Wróć się! — szumiały dęby.

Wróć się! — roznosiło tysiączne echo po lesie.

Jakby na urągowisko tym ostrzeżeniem, rozległ się dźwięczny, silny głos:

Hej wy góry i doliny,
Czy wy znacie żal dziewczyny —
Żal co mknie, wwyż pod niebiosy —
Co na listkach w kształcie rosy —
Łzami łśni...

Łza-mi łśni-i-i! — rozniosło echo.

Zdumiał się las, i w miarę posuwaną się w głąb dziewczęcia, zamykał za nią czarną ścianę z swych drzew, jakgdyby chcąc skarcić zuchwałość jej i nie przepuścić z powrotem.

Szła brzegiem urwistym, bo las dotykał aż do samej krawędzi, i przyjemny chłód wiejący z rzeki muskał złociste jej włosy. Nie czuła trwogi, szła śmiało, bo cóż to wszystko znaczy w porównaniu z tym, jeżeli uda jej się znaleźć zakwitający dziś kwiat paproci. Szła zatopiona w marzeniach a już... szczęście jej się uśmiechnie, i znajdzie, bo stara Jagna przysięgała się na wszystko, że to jest prawda. Że w Noc Świętojańską zakwita paproć i tylko potrzeba o północy iść do lasu zerwać go, a wtedy szczęście już nigdy odstępować nie będzie.

Oj, popłynął mój wianuszek,
W mglistą, ciemną dal —
Aby tylko nie utonął,
Wśród szumiących fall —

Szła dość długo... i znużenie powoli zaczęło ją ogarniać... Lecz oto rozłożysty dąb, a pod nim paproć gęsto rosnąca.

Do północy jeszcze daleko, więc odpocznie i osunęła się ociężała na jakiś wystający pień.

Zrobiło się jej chłodno, bo wiało od rzeki, więc otuliła się w chustkę i czekała...

W tym uwagę jej zwrócił jakiś mały ognik, szybko przesuwający się po liściach paproci.

„To pewno paproć zakwitła!” — przemknęło jej przez głowę.

I zerwawszy się szybko, podbiegła, by uchwycić owe światelko... gdy w tym...

noga jej się osunęła, słaby okrzyk...
 krótkie szamotanie się... koła wodne szeroko obły się o brzegi...

I znów cisza...

Złociste promienie wschodzącego słońca oświeciły nieruchomą postać, leżącą nad brzegiem wody.

W szeroko otwartych niebieskich oczach, widniał żal jakiś, już na wieki utrwalaony we wzroku skierowanym w głąb niebieskich lazurów.

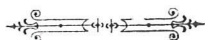
...Żal co mknie, wwyż pod niebiosy —

Co na listkach w kształcie rosy —

Łzami lśni...

W karczowo zaciśniętej dłoni widniał zmięty liść paproci.

Czesław Szymanowski.



W I A N K I.

(Z notatek Z. Glogera).



Słońce, jako widome źródło życiodajnego ciepła i światła, od wszystkich ludów dawnych cześć religijną odbierało. Tym samym musiało być cześć nie i przez Lechitów, którzy w najkrótszą noc roku, t. j. w przesilenie dnia z nocą, na cześć słońca stosy na wzgórzach zapalali i igrzyska gromadne przy tych ogniach obchodzili. Oczywiście, po wprowadzeniu wiary chrześcijańskiej zwyczaj starożytny Słowianie przystosowali do świąt i świętych Kościoła, a mianowicie do najbliższych przesilenia dnia z nocą, t. j. do św. Jana Chrzciciela i do Zielonych Świątek.

Tak, jak dzisiaj, gdy lud pracowity, chcąc sobie pobiesiadować i potańczyć latem, wybiera zwykle na to sobotę i odprawia zawsze dożynki w sobotę, t. j. przed dniem świątecznym, który do раннего nazajutrz wstania nocnych biesiadników nie obowiązuje, — tak i dawniej wszystkie nocne biesiady odbywały się z tegoż powodu w wieczory sobotnie, co dało początek nazwie «Sobótka».

Czasem w jednej okolicy, ale dwóch różnych miejscowościach, obchodzono sobótkę, tu w Zielone Świątki, a tam w wigilję św. Jana. Np. widzimy, jak Kazimierz Jagiellończyk na żądanie opata Benedyktynów świętokrzyskich zakazuje w r. 1468 biesiad pogańskich (Sobótek), na Łysej górze w Zielone Świątki odprawianych.

A o mil kilka, w Czarnym-lesie, sobótkę zawsze obchodzono w noc świętojańską, jak o tym zaświadcza sama nazwa, którą Jan Kochanowski dał swemu utworowi: «Pieśń świętojańska o Sobótce». Poeta zapatrywał się rozumnie na nieszkodliwość starego zwyczaju narodowego, który żadnej ujmę wierze i moralności chrześcijańskiej nie przynosił, a w którym uczestniczyli jeszcze w wieku XVI spolem kmiecie ze szlachtą. Z ciśniejszego stanowiska zapatrywał się na tradycyjny zwyczaj współczesny Kochanowskiemu Marcini z Urzędowa, który pisze w swoim zielniku: «U nas w wilję św. Jana niewiasty ognie paliły, tańczyły, śpiewały, djabłu cześć i modłę czyniąc; tego obyczaju pogańskiego do tych czasów w Polsce nie chcą opuszczać, ofiarowanie z bylicy czyniąc, wieszając po domach i opasując się nią, czyniąc sobótki, paląc ognie, krzesząc je deskami, aby była prawie świętość djabełska, śpiewając pieśni, tańcząc».

Nazwa Sobótki, jako od dnia sobotniego pochodząca, nie była, oczywiście, ani pierwotną, ani powszechną w całej Polsce. Lud mazowiecki i podlaski na prawym brzegu Wisły, nad Narwią i Bugiem zamieszkały, obrzęd ten znał tylko pod mianem «Kupałnocki». Sobótką na Rusi zowie się «Kupałą», a liczne ślady tego obrzędu z Wołynia, Ukrainy, Litwy i Białejrusi opisał nasi zbieracze rzeczy ludowych: Marcinkowski, Stecki, Eust. Tyszkiewicz i inni. Seweryn Goszczyński osnuł cały poemat na tle Sobótki karpackiej, a Wincenty Pol w «Pieśni o domu naszym» opisał «Wielkie wianków święto».

Wieniec w prastarych pojęciach naszego narodu był zawsze szczytnym godłem dziewictwa. Stąd oddanie wienca młodzianowi przez dziewczę jest symbolem oddania mu serca i ręki, symbolem zamążpójścia. Dziewczęta więc dla wróżby zamążpójścia, puszczały wianki swoje na nurty rzek ojczystych, a młodzieńcy na łódkach i czółenkach uganiają się po falach za wienkami. Tak w wieczór sobótkowy i kupałnocy płynęły wienice cór lechickich po Wiśle, Odrze, Warcie, Narwi, Bugu i setkach wpadających w nie «dunajców» naszych, a echem odwiecznych pieśni lechickich brzmiały szeroko doliny i gaje, oświetlone łunami stosów sobótkowych. Podobne widoki musiały się rozciągać w wyobraźni twórcy «Pieśni o domu naszym», gdy kreślił słowa:

Zbierz się synu, siadaj w krypcy,
 Nie na pogrzeb, nie na stypę,
 Popłyniemy dzisiaj z wodą;
 Lecz na wielkie wianków święto;
 Tu zrzuc z duszy ducha pęto,
 Tchnij miłością i swobodą,
 Patrz, jak Wisłą płynąć miło:
 Jakie siola, jakie grody!

Już się słońce w nieszpór chyli,
 Patrz jak roi się na moście!
 Jakie stroje, jacy goście!
 Dobrze, żeśmy w czas przybyli:
 Tu się spotkasz i z urodą,
 I z powagą, i z zasługą,
 Jak wianeczki puszczą z wodą:
 Na co czekać już niedługo.

Jak rybitwy strojne łodzie,
 Już szybują po tej wodzie,
 I na wieniec każdy czyha;
 I niejedno serce wzdycha,
 Czy szczęśliwie wieniec spłynie:
 Kto go chwyci na tej fali?
 Czy na wirze gdzie zaginie,
 Czyli gładko spłynie dalej?

Pluszczą łodzie, płyną wianki —
 I niejedno serce bije,
 I nie jedno stanie w szranki,
 Co się na dnie duszy kryje.

Sobótką, Kupalnocką, Wianki były uroczystościami dziewic polskich. Kolberg i Gregorowicz piszą, że w Sandomierskiem dziewczęta same rozpalają ogień sobótkowy (z użyciem suchej bylcy), że wzięwszy się potem za ręce i utworzywszy wielkie koło, pływają w jedną i drugą stronę w krąg ogniska. Był takim widocznie prastarym obrzędowy taniec sobótkowy dziewcząt lechickich. Ubrane w bieli, fantastyczny przedstawiają widok na ciemnym tle nocy. Buchający ogień odznacza na ziemi przesuwające się szybko ich cienie, które olbrzymieją w oddaleniu. Pieśń mazowiecka nad Narwią jasno określa, że Kupalnocka była obrzędem dziewic. Opisuje bowiem, że «koło Jana, koło Jana — tam dziewczęta się schodziły», że gdy ich północ tam zastała, poprzykrywały się chusteczkami i rosa na nie zimna padała.

ROZMAITOŚCI.

Nowe prawo.

Niedola matek i dzieci nieprawych jest jedną z bolączek naszych. Pruderyja społeczeństwa przechodzi nad takimi kwestjami do porządku dziennego ze słowami potępienia dla matki i pogardy dla dziecka. W ślad za karygodną obojętnością społeczeństwa idzie zbrodnia dzieciobójstwa. Wije się ona krwawą nicią po przez historję niedoli i męki kobiety, rzucając na jej barki jedynie całą hańbę zbrodni i wyłączną za nią odpowiedzialność. Dotychczasowe prawodawstwo, którego twórcą był mężczyzna, nie ścigało mężczyzny, jako współwinnego morderstwa, nawet jako moralnego uczestnika karygodnego czynu. Przeciwnie zaś kobietę, nie tylko stawiano pod pręgierz najśromotniejszej pogardy, ale za urodzenie dziecka nieprawego pociągano jako „wszetecznicę“ do odpowiedzialności karnej.

To też z prawdziwym uznaniem należy powitać Najwyżej zatwierdzoną w d. 26 z. m. „ustawę o polepszeniu losu dzieci nieślubnych w Królestwie“. Nowe to prawo zawiera przepisy następujące:

1. Dzieci z małżeństwa, uznanego za nieważne, zachowują prawa dzieci ślubnych i w tym przypadku, gdy oboje rodzice ich zawarli związek ten w złej wierze.

2. Dzieci nieślubne, zrodzone w cudzołóstwie albo z kazirodztwa, które w myśl odpowiednich przepisów kanonicznych nie mogłyby stanowić bezwzględnej przeszkody do zawarcia małżeństwa, mogą być uprawniające przez następne małżeństwo ich rodziców (art. 291 kod. cyw.) oraz przez wyjednanie na to osobnego zezwolenia Najwyższego (art. 296 kod. cyw.) z zachowaniem warunków wyliczonych w art. 291 i następnych kodeksu cywilnego.

3. Uznanie dziecka nieślubnego pozwala się ze strony jego ojca, również podczas toku sprawy o przyznanie od niego alimentów oraz po uprawomocnieniu się wydanego w tej mierze wyroku sądowego.

4. Dozwala się uznanie za własne dzieci nieślubnych, zrodzonych w cudzołóstwie albo z kazirodztwa.

5. Matka dziecka nieślubnego, uznanego przez ojca, ma prawo żądać od tego ostatniego alimentów oraz zwrotu kosztów, poniesionych

przez rozwiązanie, na zasadach, wskazanych w art. 9 i 10.

6. Ojciec dziecka nieślubnego, którego nie uznał (art. 298 i 305 kod. cyw.), albo którego uznanie nie może mieć skutków prawnych (art. 301 kod. cyw.) lub nie było dopuszczone wskutek opozycji osób zainteresowanych (art. 304 kod. cyw.) winien, zgodnie ze swoim stanem majątkowym i stanowiskiem społecznym matki, ponosić kosztą jego utrzymania, jeżeli zachodzi tego potrzeba, przytem bierze się pod uwagę, w jakiej mierze matka może uczestniczyć w kosztach utrzymania (art. 303 kod. cyw.). W razie żądania tych alimentów za czas ubiegły, ojciec dziecka winien uiścić je za czas nie dłuższy, niż rok przed wytoczeniem powództwa.

7. Obowiązek ojca dostarczania alimentów dziecku nieślubnemu ustaje przed dojściem jego do pełnoletności, w razie zamążpójścia córki nieślubnej lub jeżeli dziecko, będąc przygotowane do obranego zawodu, może się samo utrzymywać.

8. Do przypadających od ojca dziecka nieślubnego alimentów, wlicza się i utrzymanie potrzebującej tego matki.

9. Ojciec dziecka nieślubnego, w braku dostatecznych środków jego matki, winien opłacić niezbędne kosztą jej rozwiązania i dostarczyć jej utrzymania codziennego do czasu jej wyzdrowienia. Powództwo o zwrot tych kosztów i utrzymania może być wytoczone nie później, jak przed upływem roku od rozwiązania.

10. Wysokość alimentów dziecka nieślubnego, raz przyznana, może być zwiększana lub zmniejszana w zależności od zmiennych okoliczności.

11. Raty alimentowe na utrzymanie dziecka nieślubnego, za zgodą strony, rozważoną przez radę opieki, zastępującą radę rodzinną (art. 486 kod. cyw.), i zatwierdzoną przez sąd, mogą być zamienione na jednorazową sumę, wypłacaną przez ojca dziecka nieślubnego, z zastosowaniem odpowiednich środków, ażeby zabezpieczyć wydatkowanie tej sumy podług przeznaczenia.

12. Dzieci nieślubne, których uznanie ze strony ich ojca nie może mieć skutków prawnych (art. 301 kod. cyw.) lub nie było dopuszczone wskutek opozycji osób zainteresowanych (art. 304 kod. cyw.), nie mają przewidzianych w art. 757 i 758 kod. cyw. praw do majątku ich ojca, lecz służy im prawo do alimentów z pozostałego po nim majątku spadkowego, przy zachowaniu postanowień art. 763 i 764 tegoż kodeksu.

13. Dla przysposobienia własnych dzieci nieślubnych pozwalają się następujące wyjątki: a) przysposabiać może pełnoletni i przed pięćdziesiątym rokiem życia, oraz nie będąc o piętnaście lat starszym od przysposabianego (art. 308 kod. cyw.); b) przysposabiać oznaczone dzieci pozwala się i przed dojściem ich do pełnoletności (art. 311 kod. cyw.) oraz bez uprzedniego, w ciągu lat trzech, dostarczania im środków życia lub stałej nad nimi opieki (art. 310 kod. cyw.); c) przysposobienie pozwala się i w tym wypadku, jeżeli osoba przysposabiająca posiada własne prawe lub uprawnione dzieci lub innych zstępnych; takie przysposobienie pozwala się po dojściu oznaczonych dzieci i zstępnych do pełnoletności — tylko przy życiu drugiego rodzica prawych albo uprawnionych dzieci przysposobiciela lub rodziców jego zstępnych i za ich zgodą, zaświadczoną trybem powyższym, i d) na przysposobienie przez ojca dziecka nieślubnego wymagana jest zgoda matki dziecka (art. 311 kod. cyw.) w tym jedynie przypadku, jeżeli ona dobrowolnie uznała dziecko (art. 298 kod. cyw.).

Obrona praw autorskich.

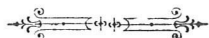
Na ostatniem posiedzeniu zarząd T-wa literatów i dziennikarzy polskich zajmował się sprawą organizacji obrony praw autorskich w miastach Królestwa Polskiego oraz na Litwie i w Cesarstwie.

Niemal ze wszystkich miast gubernjalnych zarząd T-wa otrzymał już przychylnę odpowiedź od pracowników, którzy zaofiarowali swą pomoc w charakterze członków korespondentów.

Dotychczas zgodę swą na przyjęcie godności reprezentanta Towarzystwa wyrazili już następujący adwokaci przysięgli, p.p.: Stanisław Bagiński (Wilno), Stefan Baliński (Płock), Aleksy Chrzanowski (Siedlce), Al. Chrystowski (Łomża), Jan Dąbrowski (Skierniewice), Józef Dąbrowski (Kalisz), Jan Glikson (Częstochowa), Tad. Kamiński (Łódź), Józef Kuczyński (Radom), Bohdan Kutylowski (Petersburg), Kazimierz Rudnicki (Piotrków), Stanisław Staniszewski (Suwałki), Tadeusz Tymiński (Kielce).

Listę tę powiększą jeszcze przedstawiciele palestry z innych miast, od których spodziewane są odpowiedzi. Wszyscy ci przedstawiciele T-wa występować będą w obronie praw tych członków, którzy złożą w biurze T-wa odpowiednią plenipotencję.

Niezwłocznie po ferjach letnich odbędzie się zebranie autorów dramatycznych i in., którym przedstawiony będzie szczegółowy plan organizacji oraz projekt regulaminu sekcji obrony praw autorskich. Autorzy dramatyczni, oraz osoby, pragnące wziąć udział w tych naradach, zechcą zawczasu nadsyłać do biura T-wa (Bracka 5) swoje adresy aby mogli być powiadomieni o terminie zebrania.



Piekło na ziemi.



Niedawni sprzymierzeńcy, po odniesionym zwycięstwie nad wspólnym wrogiem — Turcją, nie mogąc się podzielić łupem, rozpoczęli walkę bratobójczą. Po jednej stronie staje Bułgaria, mając za sobą trójpzymierze: Austrię, Niemcy i Włochy. Po drugiej — Serbja, Grecja i Rumunja, opierając się na trójp porozumieniu: Rosji, Anglii i Francji. Z dotychczasowych wiadomości można wnosić, że zwycięstwo jest po stronie koalicji. Niepokoi to Austrię, w pismach przebąkują o mobilizacji armji.

Całej tej nowej sytuacji przygląda się bacznie Turcja, pogrążona w anarchji wewnętrznej. Rząd nie jest w stanie wziąć na siebie odpowiedzialności za to, co zrobi naród i armja.

Całem szczęściem dla walczących państw, że finanse Turcji znajdują się w opłakanym stanie: wojsko i urzędnicy państwowi nie otrzymują pensji; w Albanji południowej umiera z głodu armja zachodnia turecka; dziesięć tysięcy ludzi już pogrzebano; dwadzieścia tysięcy siedzi nieruchomo całymi dniami i no-

cami, nie ruszając się z miejsca; po ich skórze wyschłej i pokrytej skorupą kurzu i brudu łażi robactwo, woń trupia unosi się w powietrzu, cały obóz robi wrażenie cmentarza. Okoliczna ludność albańska nie ma dla żołnierzy tureckich litości. Za kawałek chleba każe sobie płacić złotem. Wykupiła od zgłodniałych żołnierzy wszystką broń i grozi, że jeżeli rząd turecki nie zdecyduje się wycofać armji, na czele której stoi Ali Ryza-basza, to wytnie ją w pień.

Ostatnie telegramy donoszą, że armja turecka z pod Czataldży maszeruje na Adrijanopol w celu odebrania go Bułgarom.



Towarzystwo Rozwoju Przemysłu, Rzemiosł i Handlu.

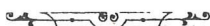
Jak donosiliśmy, powstała w Warszawie nowa placówka ekonomiczna — Towarzystwo Rozwoju Przemysłu, Rzemiosł i Handlu. Zebranie organizacyjne odbyło się w dniu 7-ym b. m., na które przybyło przeszło 200 osób z różnych stron kraju. Towarzystwo działalność swoją rozciąga na całe Królestwo, czyli że może otwierać Oddziały swoje na prowincji. Biuro T-wa posiada wydziały: statystyczno-informacyjny, wydawniczy, pośrednictwa handlowego, reklamowy i prawny.

Zarząd T-wa ukonstytuował się w sposób następujący: Franciszek Radoszewski (prez), Marjan Lutusławski i Władysław Grabski (wice-prezesi), Włodzimierz Klawer (skarbnik), S. Gryżewski i F. Pawłowski (zastępcy skarbnika), Włodzimierz ks. Czetwertyński jun. (sekretarz), Antoni Sadzewicz i Józef Bleszyński (zastępcy sekretarza).

Prośba do czytelników.

Na konkursie „Wspólnej Pracy“ odznaczoną została praca o Kołłątaju, którą zamieściliśmy w dwóch ostatnich zeszytach i zamierzaliśmy wydać w postaci taniej broszurki. Wobec braku środków własnych Redakcja odwołuje się do Czytelników z prośbą, czyby kto nie zechciał poświęcić na ten cel rb. 50. Całe wydawnictwo w 2000 egzemplarzy kosztować będzie około rb. 100; połowę tej sumy będzie można pokryć ze sprzedaży broszur.

BAJKA,



Janek z Iwaśkiem w kiepskiej żyli zgodzie,
Choć się razem w „spacernym“ bawili ogrodzie,
Choć się niby podobnie praszczur jakiś wabił, —
Iwaśko Jankowi — zawsze guza nabił.

Czy to, z rekreacji, korzystając chwili,
W wojnę się, w goście, czy w pokój bawili, —
Janko, jakimś dziwnym złych losów wyrokiem,
Wychodził z łbem dziurawym, lub podbitym okiem.

Raz gdy się bawili w zbóje i dziandziary
Janko wziął do igrzysk po ojcu chełm stary, —
Iwaś poznał zaraz, że go kiedyś zgubił
Odebrał chełm Jankowi, jeszcze go poczuł.

W końcu przyszły czasy gdy się uczyć trzeba,
— Jaśkowi w Iwasia szkole obiecują nieba.
Jaś polazł. I co się stało? Wicie moi mili,
Z Jaśka, w tej szkole — Iwaśka zrobili.

Są i wśród starszych, niby Janek taki,
Łatwowierne i dziwnie naiwne dzieciaki,
Co mimo doświadczenie, mimo chłost i kary,
Nie zbyli się niepoprawnej do Iwaśków wiary.

Jeden z nich zapaleczywszy, choć się to zda mytem.
Do Łomży w tej materji przyjeżdżał z odezytem.
Inny znów w swym organie tę imprezę chwali.
Oj Janki! widać wam jeszcze mało w skórę dali.

S. W.



LISTY DO REDAKCJI.



Z Grajewa i jego okolic.

Jeżeli kto rzeknie, że niezaradność, bierność, brak wszelkiej inicjatywy, zacofowanie — są to główne wady naszej ludności wiejskiej w ziemi Szczuczynskiej — ten się nie zminie z prawdą. Zwiedziwszy powiat w różnych kierunkach, wprost zastanowić się trzeba nad brakiem elementarnych bodaj wygod i urządzeń kulturalnych, nad przejawami owych wyż wymienionych wad naszych. Bieć muszą one w oczy każdego, zwłaszcza przyzwyczajonych do kulturalnych urządzeń Prus sąsiednich.

Przytoczę parę przykładów:

Przepływająca przez środek powiatu Szczuczynskiego rzeka Elk na całej przestrzeni od szosy aż do ujścia swego nie ma nie tylko mostów, ale nawet promu. Pomimo, że z obu stron rzeki, tuż przy jej brzegach są rozrzucone zamożne i ludne wsie, jak np. Szymany a z drugiej strony, naprzeciwko: Danówek i Koty — nikt nie pomyśli o ustanowieniu między miejscowościami temi jakiejś komunikacji stałej. O ile by ta istniała, odległość Szymanów od Grajewa wynosiła by zaledwie 3 wiorsty, by jednak dojechać z

Grajewa do Szymanów przy komunikacji obecnej, trzeba zrobić wiorst z górą 7 i to po piaskach przeważnie. W Szymanach znajdują się bogate kopalnie torfu, którego tysiące furmanek odstawia się do Grajewa rocznie, tysiące wozów ciężko ładownych musi nakładać drogi przeszło podwójnie, marnować konie i czas nieprodukcyjnie, chyba, że Elk pokryje się grubym lodem, co trwa nie zawsze i nie długo, jakieś parę tygodni w roku, lub też zgoła wcale. W położonym po drugiej stronie rzeki Danówka otwarto niedawno wielce tam potrzebną szkołę elementarną, do której dzieci z Szymanów dostają się na łodziach najpierwotniejszej konstrukcji (bo nawet bez ławek), ryzykując w ten sposób zdrowie i życie nawet. I nikt się nie znajdzie, co by pomyślał o urządzeniu chociaż promu, który w takich warunkach mógłby zapewnić mało ryzykującemu przedsiębiorcy utrzymanie i dochód przy niewielkim nakładzie pracy i kapitału. Promów tych na całej przestrzeni rzeki przydało by się kilka, tymczasem niema—ani jednego. Dodam dla pełności obrazu, że wieś ta — Szymany — 86 dymów licząca, nie posiada nawet sklepu spożywczego, mogącego zadowolnić wymagania mieszkańców, bo istniejący, dopiero od roku zeszłego (!), maleńki kramik nieodpowiada najskromniejszym bodaj wymaganiom.

Dalej nieco położone od Grajewa wsie Pęczykowo i Pęczkówka też nie pomyślały o tem, aby przez urządzenie grobli na łące, kiedy prowadzi droga, skrócić odległość od Grajewa też o połowę, bo dziś odległość Grajewa od Pęczkowa wynosi wiorst 15.

Weźmy przykład inny.

W odległej o 6 wiorst od Grajewa dużej wsi Rudzie zaczyna się ogromny obszar ślicznego lasu rządowego, wprost nieocenionego sosnowego starodrzewu. By jednak się dostać z Grajewa do Rudy, trzeba jechać wiorst 7 po najokropniejszych piaskach, równoległe z... plantem kolejowym i obserwować przejeżdżające z Grajewa przez Rudę... pociągi. Najbliższa stacja kolejowa — odległa o 18 wiorst Osowiec. I nikt niepomyślał o tem, aby poczynić starania o urządzenie w Rudzie chociaż 1-minutowego przystanku kolejowego. Nie myślą o tem sami mieszkańcy Rudy, którzy mając kolej o kilkanaście kroków od domostw swoich, wcale z niej nie korzystają, dobrowolnie się pozbawiając dochodów, jakie by mieć mogli z letników. Bo Ruda posiada wielkie ku temu dane, by stać, ze względu na pyszny las sosnowy, znakomitem letniskiem i nawet miejscem kuracyjnym. I przy obec-

nej fatalnej komunikacji z Grajewem w Rudzie gości co lato po kilkanaście rodzin z Grajewa, spragnionych balsamicznego powietrza leśnego. W Rudzie posiada swój zarząd leśnictwo Rajgrodzkie, które by też powinno się chyba przyczynić do przeprowadzenia reformy tak prostej, jak zatrzymywanie się na minutowy postój pociągów przy budce dróżnika, mogącego zarazem sprzedawać bilety. Że kolej nie robi trudności w tego rodzaju wypadkach, dowodem fakt, iż urządziła 1-minutowy przystanek przy odległych o 1½ wiorst od Grajewa koszarach wojskowych. Znam dorosłych mieszkańców Rudy — i to notuję jako fakt nie jako anegdotę — którzy nigdy w swem życiu jeszcze nie jeździli koleją!

Niechaj to będzie miarą naszego zafanial!

W-rz Sławęcki.

Grajewo, d. 4 lipca.

Z Zambrowa.

Dnia 22, 23 i 24 czerwca odbyły się kursy hodowlane w Zambrowie, na które uczęszczało 70-ciu słuchaczy. Jeszcze raz można było stwierdzić, że chęć zdobycia wiedzy fachowej u posiadaczy małorolnych wzrasta, czego dowodem udział ich w tak znacznej liczbie na kursach w czasie sprzętu siana i koniczyny.

W pierwszy dzień rozpoczęcia, po skończonych wykładach, miejscowi amatorzy odegrali trzy jednoaktówki, na rzecz kółka rolniczego w lokalu straży ogniowej. Ostatniego dnia kursów w godzinach popołudniowych odbył się pokaz bydła drobnej własności i jak na pierwszy w Zambrowie, wypadł bardzo pomyślnie, bo sami drobni gospodarze przeprowadzili na plac pokazowy 141 sztukę rogacizny, w tej liczbie 85 sztuk czerwonego bydła; następnie były 4 buhaje zarodowe rasy krajowej, które mają służyć do podniesienia bydła czerwonego u gospodarzy w okolicy Zambrowa.

Po za konkursem p. Czesław Kuberski z Sieburczyzna reprezentował swoją zarodową oborę bydła krajowego grupą, składającą się z 9-ciu sztuk; wpływało to dodatnio na orientowanie się gospodarzy, widząc swoje zaniedbane bydelko, a dobrze utrzymane i uśzlachetnione sztuki p. Kuberskiego.

Nagrody za wystawione sztuki otrzymali:

Feliks Targoński z Zambrowa za buhajka rocznego rasy krajowej, premii 75 rb., Wiktor Tymiński z Zambrowa za buhajka rocznego rasy krajowej, premii 75 rb.

Za krowy rasy krajowej lepiej utrzymać (żywione): Rajmund Klimaszewski z Klimasz 10 rb., Michał Dmochowski z Jabłonki 10 rb., Aleksander Choromański z Woli 10 rb., Kazimierz Majewski z Klimasz 10 rb., Wiktor Rogiński z Łętownicy 10 rb., Weronika Choromańska z Woli 10 rb., Wincenty Sapiński z Zambrowa 10 rb., Adam Zaremba — wagę dziesiętną i sprężynówkę, Jan Chańkowski z Wierzbowa 5 rb., Aleksander Leszczyński z Wierzbowa 5 rb., Władysław Saniewski z Gardlina 5 rb., Antoni Marczyk z Woli Zabrzyckiej 5 rb., Karol Rykaczewski z Laskowa 5 rb., Aleksander Bagiński z Łętownicy 5 rb., Franciszek Liżewski z Woli Zabrzyckiej 5 rb., Ignacy Gosiewski z Rembieszowa 5 rb., Franciszek Ołdakowski z Woli Starej 5 rb., Fryderyk Rangno z Zambrowa 5 rb., Jan Kalinowski z Wądołków 5 rb., Franciszek Saniewski z Gardlina 5 rb.

Za dobre utrzymanie stadników zarodowych otrzymali: Aleksander Malinowski z Woli Starej 5 rb., Franciszek Krajewski z Długoborza 5 rb. i Jan Chęciński z Zambrowa 5 rb.

Po za nagrodami pieniężnymi rozdano z miejscowych zasilków, drobnych przedmiotów rolniczych, jak szufle, latarki, szkopki, widły, zgrzebla i szczotki na ogólną sumę 80 rb. dla 18-tu sztuk lichego czerwonego bydła i 12-tu sztuk czarno-srokatego.

Chociaż między wystawionymi sztukami czarno-srokatymi było wiele krów dobrze zbudowanych i żywionych, jednak Komisja do spraw Hodowli Włościańskiej, widząc przewagę bydła rasy krajowej, nagród większych tym ostatnim nie udzielała, w celu wytworzenia jednolitej rasy czerwonej; świadczy też o tem wstawienie przed paroma miesiącami czterech stadników zarodowych w tej miejscowości.

Stanisław Pływaczewski.

Z Tykocina.

Z dawnych czasów, lud polski miał zamiłowanie do obchodów starodawnych zwyczajów, pomny widocznie na to, że każdy naród, który chce życie własne rozwijać, ma obowiązek w swoich zabawach i rozrywkach odtwarzać i zachowywać piękne zwyczaje ojczyste, do których wszystkie obrzędy starodawne należą.

Otóż jedna z najdawniejszych, bo jeszcze z czasów pogańskich, jest zabawa, zwana pierwotnie „Sobótką“, dlatego, że ją obchodzono w soboty, w wigilje przedświąteczne. Na sobótkę, którą zawsze obchodzono wieczorem, zbierali się wszyscy: i kmiecie z wioski, i szlachta ze dworu do ognia roznie-

conego na pagórku za wioską, gdzie siadali na trawie. Obok stało dwanaście dziewcząt, jednakowo ubranych, przepasanych bylicą, a wszystkie z nich umiały spiewać i tańczyć. Dziewczęta te z chłopcami, pobrawszy się za ręce, opasani bylicą, obchodzili dokoła ogniska, spiewając jedni do drugich.

Sobótką tą, była starodawną uroczystością na cześć „Kupały“ bożka słońca, gdyż te jako źródło światła, ciepła i życia od wszystkich ludów pogańskich cześć odbierało. Później zabawa ta przeniesiona została na wigilję św. Jana Chrzciciela, t. j. na najkrótszą noc w roku.

„Tak to matki nam podały,
Same znowu z drugich miały,
Że na dzień świętego Jana,
Zawždy Sobótką palana“.

Jednak już podówczas nie w całej Polsce tę zabawę palenia ognisk nazywano „Sobótką“. I tak na przykład u Mazurów, żyjących nad Narwią, obrzęd ten zwano «Kupalnocką». Po zachodzie słońca gospodynie i dziewczęta zebrane na łące nad wspomnianą rzeką, zapaliwszy kupalnockę, tańczyły dokoła ognia i z każdego gatunku przyniesionych pęków ziół rzucały po gałązce w ogień, wierząc, że dym zabezpieczy ich dobytek od złego. Resztę ziół zabierały do domów, aby pozatykać w strzechy chat, obór i stodoły. Około północy rozniecali większy ogień, wlewali wń pozostałe napoje, a jedna z dziewcząt wieńiec, uwity z bylicy i innych ziół, rzucała na wodę, śpiewając przytem odpowiednią do tego piosnkę; poczem udawano się do lasu, szukając kwiatu paproci. Tak się mniej więcej przedstawiał ów śliczny starodawny ludowy zwyczaj, który z czasem coraz bardziej zmieniano, aż wreszcie poszedł w niektórych miejscowościach w zapomnienie. Tak też działo się do niedawna i w naszym Tykocinie i jego okolicy. Opowiadano tylko najwyżej sobie, że w Warszawie na Wiśle, w Wilnie na Wilejce, a nawet i w stolicy naszej ziemi — Łomży na Narwi odbywa się rok-rocznie koło św. Jana ten tradycyjny obchód, obecnie zwany „Wiankami“.

Lecz oto w roku 1910, z inicjatywy przebywającego podówczas w Tykocinie p. K. Stoczkiewicza, miejscowa młodzież zajęła się urządzeniem na Narwi obchodu «Wianków», na który złożyła się, defilacja pod miastem kilku umajonych i iluminowanych łodzi, przy dźwiękach orkiestry Straży Ogniowej. W roku następnym już sama młodzież urządziła ów obchód i można zauważyć nawet pewne udoskonalenie. W roku zeszłym

«Wianki» nie doszły do skutku, dla braku orkiestry.

W roku zaś bieżącym, korzystając z chwilowo zorganizowanej orkiestry strażackiej, z inicjatywy członków tejże straży, obchód ten wznowiono. Pomimo zeszłorocznego rozczarowania już z wieczora d. 23 b. m. całe miasto wyległo nad rzekę. Najprzód ujrano udekorowany i iluminowany prom z nazwą «Kupała» a znajdująca się na nim orkiestra strażacka przygrywała mu marsza powitalnego. Potem zaczęły wypływać kolejno z oddali w uroczym nastroju umajone łodzie, każda iluminowana w odmiennym kolorze, wioząc zaproszone nadobne laszki. Najprzód ukazała się łódź Prezesa Straży Ogniowej, D-ra Barucha, potem „Lech“, «Krak», «Wawel», «Wanda», „Piast“ i wreszcie «Narew». Po skonczonej defiladzie łodzi, na przeciwnym

brzegu rzeki ujrano żywe obrazy przy świetle ogni bégalskich: «bogini lata», otoczona szeregiem w biele ubranych dziewczyc i drugi, przedstawiający Straż Ogniową przy pracy. Obydwom towarzyszyły grzmiące oklaski i dźwięki orkiestry.

Na zakończenie z udekorowanych łodzi, puszczono tradycyjne wianuszki z jarzącymi się świeczkami, a w ślad za nimi popłynęła, wykonana przez chór żeński z dziewczycą tęsknotą, prastara polska piosenka. „W pogodny wieczór świętego Jana...“ Na tym zakończyła się tradycyjna zabawa. Tłumy zadowolone powracały do domu, uprzymniając sobie w rozmowie przeżyte chwile i wyrażając głośno życzenie powtórzenia zabawy w roku przyszłym.

Ludomir Tykociński.



Zakończenie roku szkolnego w Szkole Handlowej męskiej.

Uroczysty dzień zamknięcia roku szkolnego w Szkole Handlowej męskiej rozpoczął się od wysłuchania przez personel nauczycielski i uczniów nabożeństwa w kościele O.O. Kapucynów, poczym ks. prefekt Supiński zwrócił się z odpowiednim przemówieniem do wychowanców szkoły, a w szczególności do tych, którzy opuszczają mury szkolne, t. j. maturzystów, i w ciepłych serdecznych słowach żegnał się z nimi, dając jednocześnie rady i wskazówki na przyszłą drogę życia.

W szkole akt zakończenia zagaił dyrektor p. Piotrowski i zdał sprawozdanie z działalności za rok ubiegły, podkreślając wzmożoną pracę Rady Pedagogicznej nad podniesieniem poziomu naukowego szkoły, jak również usiłowania zespołu wychowawców i ich trudne zadanie wychowywania młodzieży w ciężkich warunkach lokalnych; następnie podzielił się z zebranymi wynikiem ankiety, przeprowadzonej wśród uczniów szkoły, z której widać, że większa część wychowanców szkoły znajduje się w ciężkich warunkach materialnych; wreszcie zapoznał słuchaczy z wynikami tegorocznych egzaminów i przedstawił plan przyszłych zmian w działalności szkoły, poczym nastąpiło wydanie patentów dojrzałości abitur-

jentom szkoły przez p. Korolca, delegata Rady Opiekunczej.

Dyplomy z ukończenia szkoły otrzymali: p.p. Bagieński Czesław z odznaczeniem, Bagieński Teofil, Cebrzyński Jan, Czezerda Bronisław, Hałuszkiewicz Julian, Jałbrzykowski Antoni, Mościcki Edward, Pieńkowski Tadeusz, Prusiński Antoni, Radłowski Jan z odznaczeniem, Rychter Bohdan z odznaczeniem, Rychter Jerzy, Sztylek Bolesław i Zaleski Julian.

Do abiturjentów z pożegnalnym słowem zwrócił się ich wychowawca profesor, Kleindienst, mówiąc:

„Kiedy przed przeszło stu laty, po utracie przez kraj nasz samodzielnego bytu, na czele oświecenia publicznego stanął mąż wielkiej enoty narodowej, wielkiego charakteru i serca — ks. Adam Czartoryski, bezmiernie przestrzenie smutnej Litwy, żyznego Podola, Wołynia, kędy kultura polska szeroką strugą płynęła na wschód, okryły się siecią mnogich szkół polskich, narodowych, których hasłem było wychowanie obywateli, miłujących enotę i ojczyznę. Były to uczelnie świetne, znakomite, poczynając od wioskowej bakalnarni, a kończąc na szkole wyższej. Była to bujna niwa, z namaszczeniem przez niego zaprawiana, z której też zbierał plony obfite, czerpał myśli

plodne, wskazania ku czynom spiżowym, podniecie ku wzruszeniom, gorejącym ogniem poświęcenia. Te szkoły wychowały pokolenie ludzi, pełnych hartu, bohaterów, którzy własne szczęście i życie poświęcali dla szczęścia przyszłych pokoleń, w nierównej walce ulegli i albo zginęli, albo poszli na niedolę wygnania na wschód i na zachód. Najwspanialszym owocem tej niwy—to liceum krzemienieckie, wiekopomne dzieło Tadeusza Czackiego, i uniwersytet wileński, stojący w ówczesnej Europie w rzędzie pierwszych, świetny imionami obu Sniadeckich, Lelewela, Grodka, Poczobuta i wielu innych. Z tych szkół, liceum, uniwersytetu, snopy jasnych promieni oświeślały kraj cały, a wśród nich żarzyła się gwiazda hetmana poezji polskiej—Mickiewicza, którego hasła ogólnoludzkie trwać będą wiekuiście, a polskie tak długo, jak długo istnieć będzie imię polskie, który ukochał miliony i cierpiał za miliony, który całą swą istotą umiłował ojczyznę, nie za jej dawne świetności, tryumfy, potęgę, ale za jej ból i cierpienie, który przez całe życie wygnańcze ścierał pot męki z jej czoła, całował jej rany, kornie pochylał się u stóp jej. Te szkoły i uniwersytet wydały drugiego księcia— ducha polskiego, Juliusza Słowackiego, kochanka jutrzeńki, który w swej brylantowej fantazji wysnuł precudne obrazy; któremu mowa polska szelestna, szumiąca, bogata była posłuszna, jak dźwięki mistrza tonów, który mógł powiedzieć o sobie, że gdyby ojczyzną był język i mowa, posąg by mój stał z napisem, złotemi zgłoskami wyrytym: ojcu ojczyzny, który, wygnaniec od wczesnej młodości, smutny przez całe życie, w bolesnej tęsknocie za narodem, dla niego nadziei nie stracił i w testamencie pozostawił spiżowe słowa: «Niech żywi nie tracą nadziei i przed narodem niosą oświaty kaganiec, a kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei, jak kamienie rzucone przez Boga na szaniec.» Dla uczącej się młodzieży wszystkich krajów i czasów na zawsze pozostaną wzorem do naśladowania studenci wileńscy, którzy związani w stowarzyszenie filaretów i filomatów, co znaczy miłujących cnotę i wiedzę, w cudnej poetycznej harmonii łączyli dziecięcą czystość i nieskazitelność duszy z rozumą i umiłowaniem spraw ojczystych dojrzałych mężów. Takimi oto były wyniki szkoły polskiej narodowej w pierwszej ćwierci ubiegłego stulecia. Po raz drugi niwa szkolna okryła się bujnym plonem, kiedy za staraniem znakomitego męża stanu margrabiego Wielopolskiego otworzono szkoły średnie ze Szkołą Główną na czele. Istniała ona tylko siedem lat od r. 1862—1869, ale przez ten tak krótki czas wydała dziesiątki znakomitych ludzi, którzy szeroko wstawili imię polskie, że wspomnę Sienkiewicza, Prusa, Świętochowskiego, Chmielewskiego, i wydała wielu, którzy zaszczytnie

odznaczyli się na wszystkich polach działalności. Jesteśmy w dobie trzeciej fazy szkoły polskiej. Zbyt krótko ona istnieje, ażeby były widocznymi jej wyniki, a że istnieje wśród warunków bezmiernie trudnych, że przeszkody piętrzą się przed nią, jak ślepym wichrem zwalone złomy drzew na drodze pielgrzyma, trzeba przywołać cały zasób cierpliwości, pracowitości, hartu duszy, aby się nie ugiąć. Do tych przeszkód zaliczyłbym w pierwszym rzędzie to dziwne po krótkotrwałym zapale słomianym zobojętnienie społeczeństwa dla sprawy szkolnictwa polskiego, to karygodne sprzeniewierzenie się jej. Zwracam się do Was, kochani maturzyści, którzy macie wejść w życie i dać życiu świadectwo o tej szkole. Narówni z nami — uczącymi — jesteście budowniczymi przy zrzebie z mozołem wznowionej świątyni szkoły polskiej. Po czteroletniej pracy z Wami i trzyletnim bliższym obcowaniu w charakterze wychowawcy pragnąłbym, ażeby Wam coś po mnie pozostało, i proszę Was przyjąć i zapamiętać słowa moje z taką serdeczną szczerością, z jaką je wypowiadam, a mianowicie: To, co przez długie dziesiątki lat było dla całego narodu największym pragnieniem, najtajniejszym marzeniem; to, co z głębi duszy narodu ukazało się światu, jak uśmiech ukazuje się na twarzy matki na widok dawno niewidzianego, a, ukochanego dziecka; to, dla czego naród poniósł bezmierne ofiary, dla czego zginęło lub złamało się wiele istnień, pragnących czuć i żyć; to pragnienie, aby młode pokolenie uczyło się w języku, w którym matka trzyletnią dziecinę uczy pacierza, — to pragnienie, raz ziszczone, powinno się stać wiecznotrwałym, jak wiecznotrwałą jest miłość ku ziemi rodzinnej, zroszonej krwią i potem naszym, naszych ojców, dziadów i naddziadów, jak wiecznotrwałą w duszy naszej jest cześć dla bohaterskich wysiłków ku polepszeniu doli ziemi ojczystej“.

Po przemówieniu p. Kleindiensta wśród słuchaczy nastąpiło uroczyste skupienie, wzruszenie odbiło się na twarzach, a w oczach abiturjentów zabłyśły łzy — łzy, któreimi żegnali ukochaną przez siebie szkołę i kierowników, co wreszcie doskonale ujawniło się, gdy po słowach pożegnania, wypowiedzianych przez dyrektora p. Piotrowskiego, zabrał głos p. Cz. Bagieński maturzysta, który w słowach, przezywanych wzruszeniem, żegnał nauczycieli szkoły, dziękując im w imieniu kolegów za pracę i trudy, podjęte nad ukształceniem serc i umysłów, i obiecując, że skoro tylko im siły pozwolą, postarają się oddać społeczeństwu dług zaciągnięty i dbać w miarę możliwości o dalszy rozwój szkoły.

Na tym zakończono akt szkolny. Wycho-

dziliśmy ze szkoły z uczuciem głębokiego przekonania, że obowiązki, włożone na nią przez społeczeństwo, spełnia ona pod każdym względem wzorowo, wychowując dzielne jednostki w duchu obowiązków obywatelsko-społecznych.

Akt zakończenia roku szkolnego w Żeńskiej Szkole Handlowej.

Dnia 22 czerwca, godzina 2 po południu.

Sala rekreacyjna przedstawia niezwykły widok.

Zebrali się w niej wszyscy, dla których dzień ten jest uroczystością, jak uczennice, tak wykładający i wychowawczynie. Oprócz tego nieodłącznego zespołu przybyli i rodzice wychowanków, uczęszczających na pensję, oraz garstka gości, którzy zawsze chętnie przybywają, aby śledzić za postępami tych, co przyszłością narodu być mają.

Uroczystość rozpoczął od przeczytania sprawozdania z roku szkolnego dyrektor szkoły, pan Makarewicz.

Ukończyły szkołę: Balińska Marya, Grzymkowska Józefa (z odznaczeniem), Hermanowska Irena (z odznaczeniem), Jarząbkówna Lucyna, Kawkiewiczówna Rachela, Kleindienstówna Halina (z odznaczeniem), Kuleszanka Janina, Roguńska Stefania, Wolfkówna Władysława (z odznaczeniem), Krzyżanowska Jadwiga i Goworecka Jadwiga.

Następnie, jako nagrodę za postępy w naukach, rozdano książki i pochwały, mianowicie: Iwanickiej Minie, Szulborskiej Anatoli (kl. II), Kleczewskiej Irenie, Kornbergierównie Teresie (kl. III), Brzozównie Annie, Bursztynównie Helenie, Czaplickiej Halinie, Dziekońskiej Janinie, Stypulkowskiej Hipolicie (kl. IV) i Łubiance Kazimierze (kl. V).

Zbliża się najbardziej wzruszająca chwila, bo oto te, które wkrótce opuszczą gościnne progi przybytku wiedzy, odbierają z rąk przełożonej świadectwa dojrzałości, które im mają otworzyć wrota do nowych światów.

I ta, która była tym młodym dziewczętom przez lat tyle kierowniczką, z prawdziwie macierzyńskim uczuciem rozstaje się ze swymi wychowankami. Gorące przywiązanie przejawia się w jej słowach, zwróconych do maturzystek: cytując słowa jednego z naszych poetów, mówi, że młode, pełne zapалу serca winny podtrzymać płomienie narodowego Znicza. W pełnych prostoty wyrazach odpowiada drżącym ze wzruszenia głosem w imieniu koleżanek swej zacnej kierownicze abiturjentka, p. Józefa Grzymkowska. Słuchając jej, ma się wrażenie, że przełożona nie zawiedzie się w po-

kładanych w swych wychowanicach nadziejach, wyczuć można ten serdeczny macierzyński węzeł, jaki zadzierzgnął się między nauczycielkami i uczennicami, bez którego wszelkie wysiłki szkoły pożądaných owoców przynieść nie mogą.

Następnie żegna swe uczennice dyrektor szkoły, nie szczędząc im słów uznania i życząc powodzenia na nowych torach. Nie szczędzi im również zasłużonych pochwał wychowawczyni klasy VII-ej, p. Stanisława Gregorjew, wyrażając zarazem szczery żal, że rozstaje się ze swymi wychowankami; prosi je aby w każdej potrzebie zwracały się do tych, którzy im dotąd radą służyli. Jedną z maturzystek, p. Kuleszankę, dziękuje całemu personelowi nauczycielskiemu za trudy, poniesione nad kształceniem ich umysłów.

I jeszcze padają słowa szczerego uznania, jak gdyby na dopełnienie owej czary, z której młode dusze mają czerpać siły w drodze życia. „Niechaj głębokie myśli wieszczów naszych będą Wam balsamem w chwilach zwątpienia i trosk codziennego życia,“ kończy swe przemówienie p. Juliusz Kleindienst.

Pierwsza to może garstka dziewcząt, które tak jednoznacznie szczerem żegnane były uznaniem.

Oby uznanie to towarzyszyło im przez życie całe!

Słów kilka o bandytyzmie. Smutny obraz przedstawia kraj nasz. Cały organizm narodowy pokrył się ropiącymi wrzodami. Zepsucie obyczajów, brak poszanowania cudzej własności i, wreszcie, otwarty bandytyzm—oto dorobek lat ostatnich.

Zaraza opanowała wszystkie warstwy—od najniższych do najwyższych. Różnica tylko w pobudkach i formach. Jednych popycha do zbrodni nędza, drugich—żądza użycia; jedni rabują ludzi po drogach, drudzy—siedząc wygodnie w salonach. Dokoła wrota dzika, pozabawiona wszelkich skrupułów, walka o byt lub o zbytek. Rozpustny przesyt sybarytów karmi się głodem mas wyzyskiwanych. Złoty statek rozpasańców pływa po morzu nędzy swych ofiar. Toczą się cuchnące fale życia, w których niema ani kropli czystych uczuć, nad któremi nie unosi się światło żadnego ideału.

Czyż w takim bagnie moralnym może się łądzić co innego, prócz drapieżnej chciwości i zbrodni? Czy można się dziwić, że bandytami są zarówno patentowani zлочы́нцы i rabusie, jak i ludzie cieszący się nieraz uznaniem ogółu?

Na nic się nie zda zwalanie winy na innych (żydów i socjalistów). Zaeźnijmy lepiej

od siebie. Tylko ten kto nie chce, nie dostrzeże, że wiekowa niewola wycisnęła piętno na całym społeczeństwie. Wszyscy, co do jednego jesteśmy zatruci tym jadem.

Zamiast potępiać innych i pogłębiać tym sposobem przepaść, jaka dzieli jednych od drugich, zadajmy lepiej sobie pytanie, czy zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, by przepaść tę wyrównać?

Musimy najpierw zmniejszyć przeważającą liczbę analfabetów, nakarmić setki tysięcy głodnych, a potem — piętnować.

Smutne te i tym podobne rozmyślenia nasunęły piszącemu wypadki dni ostatnich. W naszej spokojnej, pozbawionej zgłębku fabrycznego, ziemi łomżyńskiej, od czasu słynnego ograbienia kasy Mazowieckiej, nie słychać było o napadach zbrojnych. I oto naraz władze miejscowe zaalarmowane zostały telefonicznie, że w Śniadowie, odległym o 12 wiorst od Łomży, w dniu 13 czerwca, w biały dzień, na rynku targowym, nieznanymi złoczyńcy wystrzalami z rewolwerów zabili jednego strażnika, a drugiego śmiertelnie ranili, w chwili gdy ci załadali od nich paszportów.

Złoczyńcy w liczbie 4-ch, zrabowawszy broń swoim ofiarom, ratowali się ucieczką pieszo w stronę Szumowa. Zmobilizowano z błyskawiczną szybkością straż ziemską, żandarmerję, zawezwano do pomocy wojsko, a nawet ludność miejscową i urządzono formalną oblęgę na ludzi. W krwawym tym pościgu raniony został trzeci strażnik. Co zaś do bandytów, to jednego z nich znaleziono nieżywego pod Szumowem z kartką: „odbieram sobie życie, bo uciekać nie mogę”; drugi raniony w nogę pod wsią Czartosy w krytycznej chwili, na oczach ścigających, odebrał sobie życie. Dwaj ostatni ukrywali się w ciągu tygodnia w żytach i lasach. Chłodne noce i wyczerpanie zmusiły ich do przyjęcia gościny u dróżnika kolejowego w Undach-Czarnowo. Tam też zostali otoczeni i znaleźli śmierć. Jak świadczą rany postrzałowe z brauningów w skronie, również sami sobie życie odebrali.

Znalezione przy nich papiery i fotografie, pomimo że były podarte, pozwoliły ustalić, że wszyscy czterej należeli do organizacji bandyckiej, noszącej nazwę „Mścicieli rewolucyjnych”. Po śmierci organizatora bandy Dłużewskiego w Łodzi, objął dowództwo jego pomocnik Franciszek Modzelewski i przeniósł siedzibę z początku do Częstochowy, a następnie do Warszawy. W zabitych w Undach poznano Franciszka Modzelewskiego, naczelnika bandy, i Edwarda Kamińskiego (b. aktora), kasjera bandy. Trzecim był niejaki Leon Masztalarz z Łodzi. Nazwis-

ko czwartego bandyty niewiadome. W Warszawie przy ulicy Żelaznej i Grzybowskiej wykryto dwie kryjówki bandyckie, w których odbywały się narady, ucztę i podział łupów. Aresztowano też wielu współników. Ustalono również, że jest to ta sama czwórka, która dokonała napadu na pasażerów pod Kutnem i krwawej rozprawy na przystani rzecznej w Warszawie.

Ciała bandytów przewieziono do Łomży i pochowano na miejscowym cmentarzu w miejscu, przeznaczonym dla samobójców. U dwóch na piersiach znaleziono, zawieszane prawdopodobnie rękami matek, godła religii chrześcijańskiej. Wszyscy — ludzie młodzi, w wieku od 20 do 30 lat. Być może w innych warunkach w społeczeństwie zdrowem, przy ich odwadze cywilnej i silnej woli, mogli by być dobrymi i pożytecznymi obywatelami kraju.

Obok przejmującego grozą tragizmu nie brak było w całej tej sprawie i dość zabawnych momentów. Obecność w okolicy uzbrojonych złoczyńców słuszną panikę budziła wśród mieszkańców i podniecała gorliwość władzy policyjnej. W każdym nieznajomym widziiano bandytę. Nie też dziwnego, że czterech cyklistów łomżyńskich, podczas wycieczki do Ostrołeki, zatrzymano i pod silną eskortą odprowadzono do aresztu, z kądem ich po paru godzinach wybawił znajomy mieszkaniec Ostrołeki.

Drugi wypadek miał spotkać jadących samochodem w celu obejrzenia budki dróżnika w Undach. Wzięto ich jakoby za tych, co przyjechali na odsiecz, tymbardziej, że podobne wersje krążyły w Warszawie.

Wycieczka na Litwę i Suwalszczyznę.

Dnia 24-go czerwca wyruszyła z Łomży urządzona staraniem Łomżyńskiego Oddziału T-wa Krajoznawczego wycieczka, złożona z 22-ch osób.

Po ulewnym deszczu, wycieczkowicze wozami udali się do Czerwonego Boru, skąd koleją do Grodna, gdzie zwiedzono miasto, kilka kościołów, klasztor p.p. Brygidek, następnie udano się na cmentarz, gdzie w pośrodku składowiska zatrzymano się przy grobowcu wielkiej Polki, Elżby Orzeszkowej, aby oddać hołd należny pamięci tej, która przez długie lata niosła przed narodem swoim pochodnię światła i miłości.

Z cmentarza udaliśmy się do domu zmarłej powieściopisarki, w którym żyła i tworzyła; a który po jej śmierci stał się jakby przybytkiem miłości dla tych maleństw, które, nie znając pieszczoty rodziców, znalazły tu przytułek i ochronę, wychowującą je na

pożytek społeczeństwu i wieczną chwałę tej przyjaciółki ludzi, Orzeszkowej.

Zakład uczy i wychowuje 24 dzieci płci obojga. Dzieci popisywały się przed nami deklamowaniem różnych utworów, z których było widać, jak staranna ręka czuwa nad urobieniem młodocianych serc przyszłych obywateli kraju.

Z Grodna wycieczkowicze na statku parowym malowniczym szlakiem Niemna, okolonym z obu stron lasami, wyruszyli do Druskienik, gdzie byli podejmowani z nadzwyczajną gościnnością przez p. Mikułowską.

Same Druskieniki, zarówno jak i wspinałe krajobrazy, w jakie obfituje najbliższa okolica, pozostawiły wśród uczestników wycieczki niezatarte wspomnienie miłe przebytych chwil.

Z Druskienik na kołach drogą przez puszcze Lejpuńską wyruszyliśmy do odległego o 6 mil miasta Sejn. Poza puszcza droga prowadzi prawie ciągle między lasami, rozrzuconymi wśród pagórków i dolin, między którymi spotykamy, niby olbrzymie zwierciadła, pierwsze jeziora suwalskie. Po drodze zatrzymujemy się dla odpoczynku w osadzie Kopciowo, gdzie na cmentarzu odwiedzamy miejsce wiecznego spoczynku bohaterkiego żołnierza-kobiety, Emilji Platerówny. Dalszą drogę do Sejn, dzięki coraz nowym obrazom natury, przebywamy niemal niepostrzeżenie.

W Sejnach, dzięki uprzejmości d-ra Urbana i ks. Misiewiczza, byliśmy podejmowani przez miejscowych obywateli i oprowadzani po mieście, zwiedzając i oglądając wszystko, czym Sejny mogą się poszczycić, a w pierwszym rzędzie: piękną katedrę w stylu barocco, seminarjum, sklep spółkowy, i t. p.

Zegnani serdecznie, wyruszyliśmy z Sejn do największego z jezior suwalskich, jeziora Wigry. Po zwiedzeniu dawnego klasztoru Kamedułów i kościoła, ze wzniesienia, na jakim są one wystawione, podziwialiśmy wspinały krajobraz, jaki rozpościera się z pod stóp klasztoru na rozległe wody jeziora, ogarniające wężowemi sploty ginące w oddali lasy. Przejażdżką po jeziorze zakończyliśmy nasz pobyt w tym cudnym, a tak mało znanym ogółowi zakątku naszego kraju.

Nazajutrz po przybyciu do Suwałk zwiedzono kościół, szkoły prywatne, muzeum T-wa Krajoznawczego, w którym honory gospodarza czynił p. Lineburg, niestrudzony miłośnik krajoznawstwa, którego pracy i zapobiegliwości muzeum zawdzięcza swój stan dzisiejszy, dzięki któremu może ono być postawio-

ne niemal jako pierwsze między naszymi muzeami prowincjonalnymi. Szczególnie zasługuje na uwagę dział historyczny. Na Arkadji, miejscu rozrywek Suwalszczan, zakończono zwiedzanie miasta.

Z Suwałk wyruszyliśmy do Augustowa, zatrzymując się po drodze przy jeziorach Nelsko i Białym, a następnie brzegiem ostatniego udaliśmy się do jeziora Studzienicznego, nad którym zatrzymaliśmy się w celu zwiedzenia kaplicy, mieszczącej obraz cudowny Matki Boskiej Studzienicznej.

W sprzyjającej nam dotąd pogodzie zaśła zmiana na niekorzyść, gdyż dalszą drogę do Augustowa odbyliśmy podczas małego deszczu, który następnie zmienił się w nieustającą prawie ulewę, przeszkadzającą nam nazajutrz w oglądaniu szluz na Kanale Augustowskim i w wycieczce do jeziora Sajno.

Z Augustowa przez Rajgród, Grajewo, Szczuczyn, gdzie oglądaliśmy kościół i podziemia ze zwłokami założyciela miasta, Szczuki, samochodem wrócono do Łomży.

Wycieczka trwała 7 dni i pozostawiła wśród uczestników tak miłe wspomnienia, że żegnając się, omawiano już sprawę uczestnictwa w następnej wycieczce dłuższej, organizowanej przez T-wo.

Wycieczce przewodniczył z niezrównaną uprzejmością i sprężystością p. Adam Mieczkowski przy pomocy p. Cecylii Zagórskiej.

Uskok.

Przypisek Redakcji. Jedna z uczestniczek przyrzekła po wakacjach podzielić się z czytelnikami „Wspólnej Pracy“ swemi wrażeniami z wycieczki, która, sądząc z opowiadań, i powyższego sprawozdania dostarczyła uczestnikom bardzo wiele chwil przyjemnych.

Z porządków miejskich. Pisaliśmy, że chcąc uchronić mieszkańców przed niemożliwie rozpowszechnionym u nas fałszowaniem produktów spożywczych, szczególnie nabiału, należałoby na wzór zagranicy, powołać do życia pracownię chemiczną miejską. Że jednak magistratowi naszemu trudno byłoby zdobyć się na własną tego rodzaju instytucję, to powinien przynajmniej wejść w porozumienie ze specjalistą, aby od czasu do czasu dokonywał rewizji produktów na rynku i robił analizę podejrzanych, z pociąganiem winnych fałszerstwa do odpowiedzialności. Byłoby to postrachem dla innych i mogłoby ukrócić nadużycia.

Drugą nie mniej pilną sprawą jest uporządkowanie samego rynku. Obecnie tylko miejscowi handlujący wydzierżawiają miejsca na Starym Rynku i ustawiają tam stoły i nawiasy. Dostawcy wiejscy, szczególnie kobiety

z nabiałem, zmuszone są lokować się na ziemi. Dobrze gdy jest sucho, ale proszę zobaczyć co się dzieje na rynku w dni słotne. I naczynia i ludzie grzęzną w błocie, a brudne płachty lub chustki, któremi przykryte naczynia, nie ochraniają od deszczu. W takich warunkach trudno ustrzedz produkty od zanieczyszczenia, nie mówiąc już, że do garnka ze śmietaną może zajrzeć a nawet sprobować, bez zamiaru kupna, wałęsający się pies.

Sprzedaż produktów wiejskich w podobnie niehygienicznych warunkach powinna być wzbroniona przez władze sanitarne, a magistrat powinien zadbać o pobudowanie odpowiednich stołów dla tych produktów.

Wodociągi i kanalizacja w Łomży. Uzupełniając wiadomość podaną w ostatnim zeszycie, komunikujemy, że Jenerał-Gubernator wyraził swoją zgodę na sporządzenie projektu wodociągów i kanalizacji w Łomży kosztem 10800 rb.

Magistrat wezwał do sporządzenia projektu inżyniera Szenfelda, zajętego obecnie przy budowie wodociągów w Wilnie. Pan S. podejmuje się sporządzić projekty za 4500 rb. w ciągu sześciu miesięcy od daty podpisania kontraktu. Wszelkie zaś roboty przygotowawcze, a więc prowadzenie studjów, zdjęć niwelacyjnych i t. p., ma wykonać technik z ramienia Magistratu za osobnem wynagrodzeniem, pod kierownictwem p. Szenfelda.

Z T-wa Rolniczego. W dniu 21 Czerwca odbyło się, pod przewodnictwem p. Józefa Jabłońskiego, roczne zebranie ogólne członków. Po przedyskutowaniu i załatwieniu sprawy o rozszerzeniu działalności T-wa „Snop” na fabryki i zabudowania fabryczne oraz uchwaleniu budżetu na rok przyszły i zatwierdzeniu sprawozdania za rok ubiegły, odbyły się wybory do Rady i Komisji Rewizyjnej. Do Rady na miejsce ustępujących przez losowanie pp. Stanisława Lasockiego i Franciszka Wierzbickiego, wybrano tego ostatniego ponownie, a na miejsce p. Lasockiego, który zrzekł się wyboru, powołano p. Józefa Lutosławskiego. Do Komisji Rewizyjnej weszli pp. Paweł Rzekowski, Kazimierz Choynowski, Wacław Schirmer, Stefan Sztembart i Zygmunt Przyjemski.

Nad program przewodniczący wydziału kółek rolniczych p. Stanisław Woyczyński postawił wniosek o wyborze nowego zarządu wydziału, wobec rozszerzenia się jego działalności. Zebranie przychyliło się do wniosku i nowy zarząd wybrało w osobach pp. Stanisława Woyczyńskiego, Kazimierza Kisielnickiego, Franciszka Wierzbickiego, Józefa Lu-

tosławskiego i Mieczysława Skarzyńskiego. Po dokonaniu wyborów p. Stanisław Woyczyński zrzekł się mandatu, tłumacząc się brakiem czasu. Zebranie trzykrotnie prosiło go o nieopuszczanie stanowiska, za każdym razem jednak odmawiał; poczym, na wniosek przewodniczącego, podziękowano p. Woyczyńskiemu za jego dziesięcioletnią owocną pracę dla ludu.

Na zakończenie odbył się odczyt p. Władysława Grabskiego o powszechnem nauczaniu. Prelegent z wielką wiarą, szczerze zachęcał do zajęcia się tą sprawą, przytaczając na poparcie cały szereg argumentów cyfrowych. Nie mniej szczerze oponował mu p. Stanisław Woyczyński. Nie przytaczamy szczegółów, gdyż czytelnicy wiedzą z gazet jakie są argumenty za i przeciw zaprowadzeniu sieci szkolnej. To jedno nie ulega wątpliwości, że oświatę wśród ludu musimy pchnąć naprzód, aby nie mówiono o nas tak, jak wyraził się niedawno obecny prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Wilson: „Przybywa tu do nas z Polski żywioł nędzny, małowartościowy, obniżający kulturę”.

Wianki w Łomży. „Wianki” odbyły się w Łomży w pierwszą niedzielę po św. Janie, t. j. w dniu 29 czerwca. Organizacją zabawy zajęło się, jak zwykle, Towarzystwo Dobroczynności, zaprosiwszy do współudziału wszystkie miejscowe instytucje.

„Wianki,” po za piękną tradycją, sięgającą czasów zamierzchłych, posiadają wiele uroku i mają charakter zabawy szczerze demokratycznej.

Uczestników zabawy nie obowiązuje żadna opłata, każdy daje tyle, na co go stać. To też wkrótce po południu tysiączne tłumy zajęły most i brzegi Narwi, oczekując niecierpliwie na rozpoczęcie zabawy.

Najwpierw odbył się wyścig rybacki, w którym zwyciężył Sekciński. Następnie współzawodniczyło ze sobą trzech pływaków. Pierwszy przepłynął przestrzeń od Kępy do mostu i wziął nagrodę p. Chomicz.

Trzecie miejsce w programie zabawy zajęły wyścigi wioślarskie. W biegu pierwszym (damskim) zwyciężyła osada pod sterem p-ny Marji Stefkówny z wioślarkami p.p. W. Zwierzynską i E. Basynerówną. W biegu drugim (hamburki dwuwiosłowe) przyszła pierwsza do mety łódź pod sterem p. F. Purwina z wioślarem p. S. Andrzejewskim. W biegu trzecim zwyciężyła osada, złożona z sternika p. J. Parzuchowskiego i wioślarzy p.p. J. Pilniakowskiego i J. Królikowskiego. Bieg półbłoków przyniósł awicyństwo p. J. Stefko, jako ster-

nikowi i p.p. K. Kulczyńskiemu, W. Marconiemu, F. Purwinowi i F. Dziarskiemu, jako wioślarzom.

Towarzystwo Rozwoju Fizycznego urządziło popis gimnastyczny, złożony z sześciu obrazów gimnastyki szwedzkiej i jednej walki francuskiej (nierozegraney). Wypadł dobrze i podobał się publiczności.

„Lutnia“ dała parę numerów muzyki, a Straż Ogniowa — orkiestrę dętą, przygrywającą podczas całej zabawy, i żywy obraz, „Pożar“, niejednokrotnie już widziany. Poza tym Straż Ogniowa wiele dopomogła do utrzymania porządku na zabawie.

Wreszcie Towarzystwo „Przyszłość“ zaprodukowało dwa bardzo efektowne obrazy: «Rusałki wodne» i «Wiara, Miłość i Nadzieja.»

Wielkie zainteresowanie obudził, po raz pierwszy w Łomży spotykany, «Konkurs piękności.» Zwyciężyła panna W. Gotowcew, drugą nagrodę otrzymała panna M. Iwanicka.

Za udekorowanie łodzi pierwszą nagrodę przyznano cechom rzemieślniczym, drugą — p. A. Marjanowi.

Zabawa ludowa, polegająca na włożeniu na słup i wyścigach w workach, cieszyła się olbrzymim powodzeniem. Wlaź na słup i otrzymał ulokowaną tam nagrodę kilkunastoletni chłopiec z Jednaczewa. Gdy jednak znalazł się z powrotem na dole, to w przystępie zazdrości poturbowano go, a przedmioty, stanowiące nagrodę, odebrano. Drugiemu, Justowi, w tłoku zgnieciono klatkę piersiową.

Resztę programu wypełniły wspaniałe ognie sztuczne, sobótki i confetti.

Całość, zawdzięczając energii i pamiłowości Rady Towarzystwa Dobroczynności, wypadła jak nigdy, a co najważniejsza — dała świetny, dotąd niepraktykowany, rezultat finansowy — około 400 rb brutto.

Jednego można żałować, że zabawa do pewnego stopnia straciła pierwotny swój charakter: nie widać było na wodzie płynących wianuszków, nikt ich nie łapał, nie było korowodu dziewic dokoła sobótek. Sądzymy, że na przyszłość i te luki, ku zachowaniu tradycji, da się wypełnić.

Wściekły pies. Pomimo zarządzonych ostrożności, zdarzył się w ostatnich dniach wypadek pokąsania kilku ludzi i zwierząt domowych przez psa wściekłego. Pies został zabity, a ofiary odesłano do lecznicy w Warszawie. Dla uniknięcia podobnych wypadków na przyszłość sami mieszkańcy powinni zadbać, aby w mieście nie było psów bez kagańców. Wściekła suka, opuszczona przez właściciela, znalazła przytułek w jednej z posesji przy ulicy Wasilewskiej i tam w korytarzu

piwnicznym miała szczenięta. Nikt nie zwrócił jednak uwagi, że chodził bez kagańca i niezawodnie bez pożywienia.

Od pioruna. Gospodarz z Podgórza Oleśiewski, pracując z małym chłopcem w polu, ukrył się przed deszczem pod lipą. Pomimo istniejącego przesądu, że piorun w lipę nie uderza, został zabity. Chłopiec został przy życiu.

Wypadek. W poniedziałek dnia 7 lipca czterech gospodarzy z Czarnocina przeprawiło się łódką przez rzekę, powracając z łąk do domu. Nadciągała chmura z wiatrem, który przewrócił łódkę na środku rzeki. Wyratował się tylko przewoźnik, czterech zaś gospodarzy utonęło, pomimo, że niektórzy dobrze pływali.

Z łowiectwa. Dolina Narwi pokryta była dawniej lasami, które łączyły Puszczę Kurpiowską z Puszczą Białowieską. Na górzystych brzegach Narwi wznosiły się zamki myśliwskie, a miejscowa ludność (kurpie) trudniła się łowiectwem i bartnictwem. Pod uderzeniami topora padły odwieczne dęby, a zwierzę wyginął dla braku schronienia przed człowiekiem. O łosiu lub jeleniu niema dziś mowy, a nawet dzik i sarna należą do rzadkich zjawisk. Tymczasem w sąsiednich Prusach ocalały i lasy i zwierzyna. Nad granicą czasem zabłąka się i do nas sarna lub jeleni pruski, po to by paść z ręki raubszycy.

W Łomży mamy aż trzy grupy myśliwskie, z których tylko jedna, t. zw. „Kółko Myśliwskie“, coś niecoś dla ochrony zwierzyny robi. Utrzymuje ona stałych stróżów na dzierzawionych terenach, przy ciężkich zimach dostarcza pożywienia kuropatwom, w roku zaś zeszłym zakupiła i puściła do lasów Jeziorowskiego i Giełczyńskiego 36 sztuk bażantów.

Ostatnio zapadła uchwała zarządu tej grupy, aby wobec chłodów wiosennych polowanie na kuropatwy i zające w roku bieżącym rozpocząć nieco później niż prawo pozwala, — mianowicie: na kuropatwy 1-go a na zające 15-go września. Przykład godny naśladowania.

Wielkie udogodnienie. Pisaliśmy w ostatnim zeszycie o wycieczce Kółka Burzyńskiego do miejscowości Pogorzałe nad Biebrzą, gdzie wycieczkowicze naocznie przekonali się, co można zrobić z łąk, nie przynoszących prawie żadnych korzyści, przez obsuszenie ich i uprawę.

Obecnie możemy podzielić się z czytelnikami dobrą wiadomością. Przy zarządzie dóbr państwa w Suwałkach, działalność któ-

rego rozciąga się i na naszą gubernję, od niedawna urzęduje inżynier Turczynowicz, polak. Do obowiązków jego należy osuszenie łąk i bagien, tak rządowych jak i prywatnych.

O ile chodzi o osuszenie większych przestrzeni, to wspomniany inżynier sporządza bezpłatnie projekty i wyjednywa u rządu zapomogi na pokrycie $\frac{3}{4}$ kosztów przeprowadzenia głównego macierzystego kanału. Wieś lub gmina muszą uchwalić przy tem, że życzą sobie osuszenia łąk przy pomocy rządowej, oraz że $\frac{1}{4}$ wydatków na przekopanie głównego kanału pokryją sami i dostarczą pomoc w naturze przy pomiarach i wykonaniu zdjęć niwelacyjnych.

Zalanych łąk i bagien jest najwięcej w powiatach Szczuczynskim i Kolneńskim. Mieszkańcy więc tych powiatów powinni wykazać gotowość rządu dopomożenia w sprawie osuszenia łąk. Bliższych informacji w tych kwestjach udzielić może instruktor przy T-wie Rolniczem Łomżyńskim p. Pływaczewski.

Nadmieniamy, że inżynier p. Turczynowicz w drugiej połowie czerwca badał zalane przestrzenie łąkowe w gminach Zambrów, Długobórz, Kossaki i Puchały.

Nie dręczcie zwierząt. Niema prawie miasta w Zachodniej Europie, w którymby nie było komitetu lub związku, który zwraca baczną uwagę, przynajmniej na ulicy i w miejscach publicznych na ludzkie obchodzenie się ze zwierzętami. U nas nic podobnego nie egzystuje. I zdarzają się często wypadki barbarzyńskiego obchodzenia się, szczególnie z chorymi zwierzętami. Pan K. P. komunikuje nam co następuje: „W niedzielę dnia 22 czerwca na ulicy Zjazd w Łomży dwóch woźniców żydów pędziło konia, który jedną przednią nogę miał złamaną poniżej kolana. Dręczony i drżący koń pobudzany był do szybszego biegu razami i krzykami swych oprawców. Widzowie odnosili się do tego z zupełną obojętnością. Na zapytanie moje dokąd pędzą tak okaleczone zwierzę, odpowiedzieli, że na Pulwy. Rada moja, by konia odprowadzili do czyściciela, nie była przyjęta. Wobec tego zwróciłem się do strażników, stojących na posterunku, aby zajęli się poclągnięciem woźniców do odpowiedzialności karnej i skróceniem męki zwierzęciu, gdyż wiadomo, że koń ze złamaną nogą żyć nie może.

Drugi wypadek. Pewnego razu spotkałem pędzonego przez woźnicę konia z roz-

dartą piersią. Rana była duża i krwawiąca, a koń dosłownie jęczał z bólu“.

Czyżby nasza policja nie miała od swojej władzy żadnych wskazówek jak postępować w wyżej wymienionych wypadkach?

Z T-wa Wioślarskiego. W dniu 20 lipca odbędzie się dorocznym zwyczajem turniej wioślarski. Staje osiem załóg. Zapasy, wobec niedogodnego terenu pod miastem, urządzane są w okolicach Starej Łomży. Rozpoczęto już budowę nowej przystani, która ma być wykończona w dniu 1 września.

Z T-wa Rozwoju Fizycznego. W dniu 15 czerwca sprowadzony przez zarząd T-wa p. Wł. R. Kozłowski, redaktor „Ruchu“, wygłosił odczyt o wychowaniu fizycznym, ilustrowany obrazami niktancami, który zakończył gorącym wezwaniem do oddawania się ćwiczeniom fizycznym, wychodząc z założenia, że sprawność duchowa zależy od sprawności cielesnej.

Na Niedzielę dnia 27-go Lipca T-wo projektuje w godzinach rannych rekord cyklistów, a po południu zabawę w ogrodzie sportowym przy ulicy Nowogrodzkiej.

Rekord ma się odbyć na przestrzeni 30-o wiorstowej, mianowicie: z Łomży do wsi Gać i z powrotem. Stawać do rekordu mogą tylko członkowie towarzystw sportowych. Rekord dochodzi do skutku przy zapisaniu się 10 osób. Nagrody: trzy żetony i szarfa mistrzostwa Łomży na rok 1913-ty.

Skasowanie Zarządu Akcyzy Łomżyńskiego. Dotychczas Królestwo Polskie podzielone było na cztery okręgi akcyzowe, zarządy których rezydowały w Warszawie, Lublinie, Kielcach i Łomży. Z powstaniem gubernii Chełmskiej zaszła potrzeba innego podziału. W tym celu w Lublinie odbyła się narada prezesów dotychczasowych okręgów pod przewodnictwem wiceministra Nowickiego, na której zaprojektowano utworzenie nowego okręgu w Chełmie, z przyłączeniem do niego dwóch powiatów gubernii Wołyńskiej, oraz skasowanie okręgu w Łomży, z przyłączeniem gubernii Płockiej i Łomżyńskiej do Warszawy, Suwalskiej zaś do Grodzieńskiego i Kowieńskiego okręgów. — Zmiany te mają być wprowadzone w życie z dniem 1 stycznia r.b.

Skasowanie zarządu łomżyńskiego, nie mówiąc już o właścicielach gorzelni, dotkliwie odczuje miasto, gdyż jest do jedna z najpoważniejszych i najlepiej uposażonych instytucji rządowych. Przypuszczalnie miasto straci rocznie około 200.000 rubli. Przeszło 50 większych lokali, świecić będzie pustka-

mi. Urzędnicy rosjanie przejdą prawdopodobnie do Chełma; część polaków dostanie się do Warszawy, reszta powędruje w głąb Rosji.

Zakup koni. W dniu 8-m Września odbędzie się w Łomży zakup koni dla wojska. Nabywane będą wałachy i klacze typu wierzchowego od 3 $\frac{1}{2}$ do 5 $\frac{1}{2}$ lat wszystkich masy i odcieni, oprócz pstrokatych.

W przeddzień zakupu koni odbędzie się dorocznym zwyczajem pokaz ogierów i klaczy wierzchowych 3, 4 i 5 letnich i ogierów i klaczy włościańskich 1, 3, 4 i 5-cio letnich.

Ostrzeżenie. W ostatnich czasach dwóch ludzi w wieku średnim, o wyglądzie rzemieślników, chodzi po domach i zbiera ofiary dla jakiejś chorej po połogu kobiety, matki czworga dzieci, której mąż wyszedł na zarobki do Prus. Każdego kto daje ofiarę, proszą o wpisanie swego nazwiska i wpłaconej sumy na listę, gdyż, jak powiadają, muszą złożyć z zebranych pieniędzy rachunek, aby ich nie posądzono o przywłaszczenie cudzego grosza. Pozornie cała sprawa zasługuje na zaufanie, to też syją się obficie datki. Jeden z ofiarodawców, przejęty grozą sytuacji, oprócz datku, zaprzagnął dopomóc chorej kobiecie w naturze i zapytał o jej adres. Z pewną niechęcią odpowiedziano gdzie mieszka, lecz gdy się tam udał, to żadnej chorej kobiety nie znalazł.

Są to więc najzwyczajniejsi oszuści, którzy pod różnemi pozorami wyłudzą pieniądze na wódkę.

Z Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. W roku bieżącym przypada termin dołączenia kuponów do Listów Zastawnych Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego na następne 10 lat. Posiadacze Listów Zastawnych winni składać takowe w Dyrekcji Szczegółowej i po upływie pewnego terminu, nie dalej jak w ciągu 20 dni, zgłaszać się po odbiór Listów z dołączonymi kuponami.

Przyjmowanie Listów Zastawnych rozpocznie się od dnia 30 lipca r. b.

Wyjaśnienie. «Tygodnik Suwalski» doniósł, a za nim powtórzyły niektóre pisma warszawskie, że pan Tadeusz Woyczyński z Porytego sprzedaje Bankowi Włościańskiemu na parcelację bez zastrzeżeń dobra Szukle i Olwitę w gubernii Suwalskiej, nabyte od p. Stanisława Gawrońskiego, o przestrzeni 200 włók najpiękniejszej w tamtych okolicach ziemi.

Wezwany przez „Głos Łomżyński” do dania wyjaśnień co do prawdziwości powyż-

szej enuncjacji, p. Woyczyński oświadczył: „Dotychczas nikomu dóbr Szawelskich nie sprzedaje. Posiadanie tych dóbr przezemnie związane jest z pewnymi warunkami, które, według mojego przekonania, wkładają na mnie obowiązek wszechstronnego ustalenia ich wartości. Gdyby Redakcji „Tygodnika Suwalskiego” chodziło nie tyle o sensację, ile o rzecz samą, to miała możliwość zapoznania się z poruszoną sprawą, informując się bezpośrednio u mnie, i ustrzedz swój organ przed czynem bardzo niewłaściwym, jakim jest publikowanie faktów, które miejsca nie miały”.

Tęsknota za krajem. Od czasu do czasu w publicystyce naszej ukazują się artykuły o wychodźstwie. Artykuły te określają wychodźców przeważnie ze strony ujemnej, i wniossek z nich można wysnuć, że dla chcących pracy znalazłby się kęs chleba i w kraju.

A emigrację zwykle podporządkowywa się chęci włóczęgostwa, co może świadczyć utarte w prasie i między społeczeństwem przyzwyczajanie wychodźców „obieźsaszami”.

Naszym zdaniem, małe zarobki w kraju, a w większości wypadków nawet brak tych zarobków zmuszają liczne rzesze do porzucenia rodzinnego kąta i wędrówki na dolę i niedolę w obce kraje. Dla charakterystyki podajemy list nadesłany nam przez jednego z wychodźców. Świadczy on w jakim nastroju opuszcza wieśniak nasz kraj.

„Ojczyzno, biedna dola moja, że się z tobą rozstać muszę i mam het za morze wędrować.

Wy, gaje śliczne i świergocące ptaszki i ty struniyku, ozdobo wsi mojej, i wy pola, łąki i lasy, żegnam was. Tęskno i smutno bez was mi i żal serce rozrywa, że idę w obcy, nieznany kraj, może na poniewierkę i uragowisko. Ale idę dla chleba! Czy w tobie, ziemio, nie kryją się skarby, czy nie jesteś w stanie wykarmić wszystkich, że ja biedny muszę iść, gdzie echa fujarki naszej nie słychać, gdzie może mowy ojczystej nie usłyszę. Gdyby ptakiem się stać i lecieć do swej ziemi ukochanej i przyłgnąć ustami do jej skał zimnych i wypłakać żal i ból na ziemi rodzinnej!»

O groblę jednaczewską. Nie świetne wogóle mamy drogi pod Łomżą (szosa do Czerwonego Boru, droga do Kupisk) ale z pomiędzy wszystkich wyróżnia się chyba droga do wsi Jednaczewo. Pisaliśmy już niejednokrotnie o tej drodze, a w roku zeszłym zanotowaliśmy nawet dwa wypadki z koniem i z wozem. Obecnie otrzymaliśmy świeżą

wiadomość, że przejazd groblą jednaczewską jest wprost rozpaczliwy. Droga należy do miasta i od czasu do czasu odbywa się drobny remont, lecz to prawie nie wpływa na jej stan. Nasyp należałoby znacznie podnieść i utrwalić, a może nawet wybrukować, zabezpieczając drogę od wiosennych zalewów. Mieszkańcy Jednaczewa, jak utrzymują, wzięliby chętnie czynny udział w doprowadzeniu drogi do porządku. To samo mieszczenie-rolnicy, i właściciele torfowisk. A i właściciel majoratu prawdopodobnie nie odmówiłby faszyny. Potrzeba tylko aby magistrat zainicjował, sporządził anszlak i nakazał w porozumieniu się z naczelnikiem powiatu łomżyńskiego robocizną. Jeżeli nie w jednym roku, to w ciągu paru lat można byłoby doprowadzić drogę do należytego stanu.

Urodzaje. Po wiosennych chłodach i suchy, w końcu czerwca rozpoczęły się dni słotne. Zbożom i okopowym deszcze dotąd nie zaszkodziły. Może nieco przeszkodziły późniejszym zbiorom siana i koniczyny. Natomiast od wiosennych chłódów ucierpiały sady owocowe, szczególnie wiśnie.

Sprostowania. W korespondencji z Pušczy Kurpiowskiej, zamieszczonej w ostatnim numerze, autor nadmienil, że w liczbie innych wzywany był do topielicy i powiatowy felczer w Ostrolęce, który odmówil pójscia. Obecnie wyjaśnia się, że powiatowy telczer p. Milewski zupełnie wzywany nie był, a więc nie ciąży na nim zarzut odmówienia pomocy topielicy.

Drogą sprawą, którą uważamy za stosowne sprostować, jest wzmianka kronikarska z ostatniego numeru, p. t. „Małomiasteczkość.” Niektórzy czytelnicy dopatrzili się w niej obrony p. Bialikowskiego. Otóż musimy się przeciwko temu kategorycznie zastrzedz. Chodziło nam wyłącznie o napiętnowanie ko-

respondencji, o charakterze paszkwilu, jaka ukazała się w jednym z pism amerykańskich, z powołaniem się na „Wspólną Pracę”. Autor tej nieszczęśliwej pod każdym względem korespondencji, pisząc o sprawie B., przytoczył cały szereg kłamliwych wiadomości, a co najgorsza pozwolił sobie na grzebanie się w życiu prywatnem ludzi, zasługujących na szacunek. Tym sposobem stał się właśnie najlepszym obrońcą p. B.

Od Redakcji.

Jeszcze raz musimy przeprosić Sz. Czytelników za niepunktualność w wydawaniu pisma, która tym razem nastąpiła z przyczyn niezależnych od Redakcji.

Przyjaciół naszych prosimy o rozpowszechnianie pisma i nadsyłanie korespondencji. — Korespondentom wysyłamy pismo bezpłatnie.

Redakcja udziela wskazówek, jak zakładać sklepy spożywcze, towarzystwa kredytowe, strażę ogniową, biblioteki i t. p., oraz pośredniczy w załatwianiu formalności, związanych z otwieraniem towarzystw.

Odpowiedzi od Redakcji.

Panu F. Śmigiełskiemu. Z prawdziwą przykrością listu Sz. Pana w sprawie nieprzyjemnego zajścia z D-rem Z. umieścić nie możemy dla jego prywatnej, czysto osobistej nuty. Sądzymy, że Sz. Pan, po głębszym zastanowieniu się, nie weźmie nam tego za złe i zaniecha zamiaru zaprzestania prenumeraty pisma.

Panu R. K-mu. Za łaskawie nadesłaną korespondencję dziękujemy. Umieścimy ją w numerze następnym, który się niebawem ukaze.

PENSJA PRYWATNA

z prawami szkół rządowych

Domicelli Niemirowskiej.

Zapis uczennic do wszystkich klas rozpocznie się dnia 15-go sierpnia; egzaminy zaś dnia 1-go, 2-go i 3-go września; lekcje — 4-go września.

Internat, konwersacja języka francuskiego i niemieckiego.
Łomża, ulica Długa, dom p. Andruszkiewicz.

Osoba w średnim wieku, profesjonalna krawcowa, znająca się na gospodarstwie domowym, poszukuje obowiązku w mieście lub na wsi. Łaskawe oferty nadsyłać do Redakcji dla Z. St.

„Spójnia” Stow. Polsk. Akad. Młodz. Socjal. we Lwowie udziela informacji, dotyczących studjów na wyższych zakładach naukowych zagranicą. Na odpowiedź załączyć należy markę.

Adres: Lwów, politechnika, St. Domaszewski.

KOSY do zboża i trawy, oryginalne styryjskie,
fabryki **Franz de Paul Schroeckenfux**, z marką
fabr. „**mała kosa**”, gusstalowe, ozdobnie
polerowane, **w najlepszym gatunku.**

NARZĘDZIA DRENARSKIE I OGRODNICZE
NOŻYCE DO STRYZENIA OWIEC.

Kosiarki amerykańskie, Maszyny i nożyce **do strzyżenia koni.** Wędk
i przybory do rybołówstwa. Okucia do drzwi i okien polecają:

KRZYSZTOF BRUN I SYN

w Warszawie, Plac Teatralny — Sprzedaż hurtowa i detaliczna.

Wyyżmaczki Madame Sans Gène
Żelazka do prasowania i kuchenki spirytusowe
Kuchenki naftowe „PRIMUS”, oryginalne szwedzkie
Wagi sprężynowe SALTERSA

MASZYNKI do siekania mięsa
Naczynia i przybory kuchenne. Maszyny do lodów

POLECAJĄ:

Krzysztof Brun i Syn

w Warszawie, Plac Teatralny.

Numeratory rewolwerowe

do znaczenia drzew, tastry, siewniki i różne
narzędzia leśne.

Polecają: reprezentanci firmy **Gochler**

Krzysztof Brun i Syn

w Warszawie, plac Teatralny.

MAJATKOW rozmaitej wiel-
kości dla swej licznej i zaufanej
klijenteli poszukuję.

Posiadam rutynę, długoletnie
doświadczenie, jak również rozległe
stosunki w sferach ziemiańskich.

Tranzakcje przeprowadzam so-
lidnie i skutecznie.

Warszawa, Sadowa 6,
Pareiz Marjampol.

Warszawska miejska SZKOŁA POŁOŻNICZA

Kurs roczny, opłata 100 rubli, w 2 częściach; zapis nowych uczennic trwa cały rok.

— LICZBA UCZENNIC OGRANICZONA. —

Rok szkolny zaczyna się 1-go Kwietnia i 1-go Października. Podania i dowody składać w Wydziale Szpitalnym Magistratu miasta Warszawy, Krakowskie-Przedmieście N-^o 60; tamże należy się zwracać po wszelkie wiadomości i po ustawę

Świadectwo szkoły daje prawo praktyki w całym Państwie.

Jedyna w Warszawie Chrześcijańska
Hurtownia Towarów Bławatnych

BERTA BOBOLI.

Najtańsze i najdogodniejsze źródło zakupów dla Spółek, Stowarzyszeń Współdzielczych oraz nowo-zakładanych sklepów bławatnych.

Uwaga. Towar sprzedaje nawet po 1/4 sztuki przy cenach bezwzględnie hurtowych.

SKLEP i składy mieszczą się przy ul. Rynkowej № 11 w podwórzu.

Bazar Janasza obok Hal Targowych pod Żelazną Bramą.

Zbytecznie jeździć do Warszawy
ażebym wybrać osobiście

Obicia Papierowe

wystarczy bowiem zwrócić się pi-
śmiennie do Składow Fabrycznych
Domu Handlowego Br. TARNOPOL

Warszawa { Marszałkowska 154.
 { Miodowa 3,

by otrzymać katalog z ostatnimi
pięknymi nowościami, notowanemi
po **cenach ściśle fabrycznych.**

Katalogi wysła się gratis i franco.

„MATERNITÉ“

Prywatny Zakład

Ginekologiczno - Akuszerski

Doktorów:

Z. Endelmana

O. Goldberga

J. Ślaskiego

S. Janczewskiego

w Warszawie, ulica BODUENA № 5.